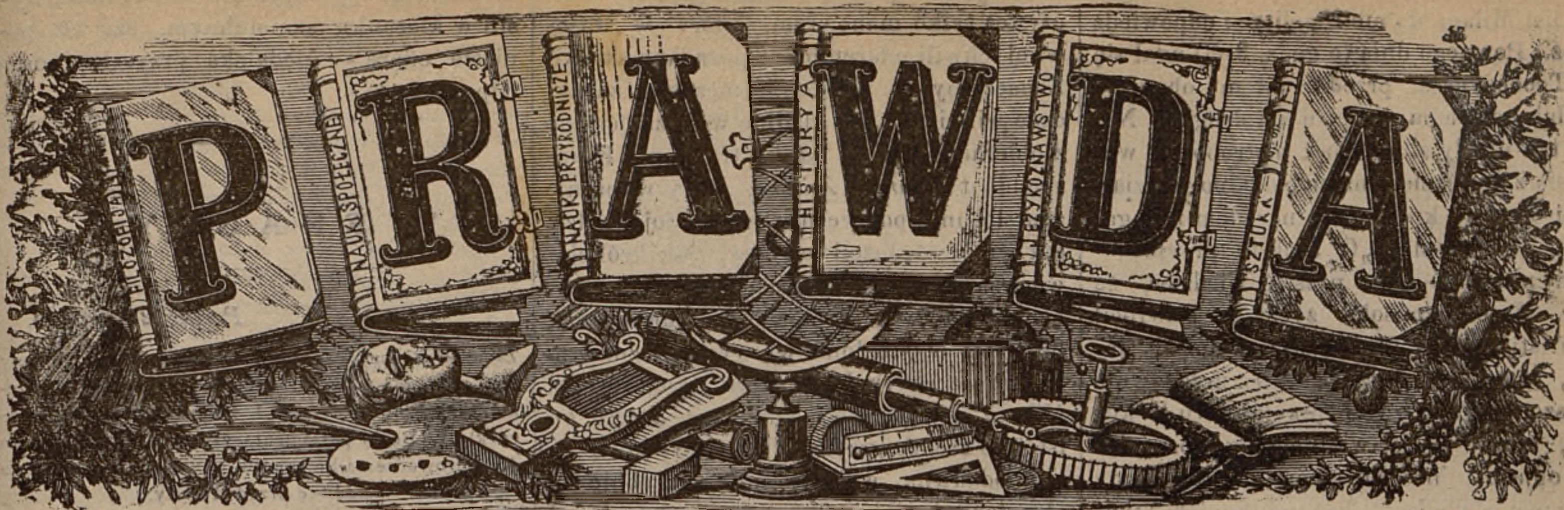
№ 45. Warszawa, dnia 10 Listopada (29 Października) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Najwyższy Manifest.

Z ŁASKI BOŻEJ
MY, ALEKSANDER TRZECI,
Cesarz i Samowładca Wszech Rosyi, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki,
etc. etc.

Niezbadanemi drogami Opatrzności spełnił się nad Nami cud Łaski Bożej. Tam, gdzie nie było nadziei ocalenia ludzkiego, Pan Bóg raczył dziwnym sposobem zachować życie Mnie, Najjaśniejszej Pani i Cesarzowiczowi Następcy Tronu, oraz wszystkim Dzieciom. Niechaj zjednoczą się modlitwy wiernych Naszych poddanych z Naszemi dziękczynnemi modłami do Boga za ocalenie Nas. Korząc się przed wyrokami Najwyższego, wierzymy, że objawiona Nam i ludowi Naszemu łaska Boża odpowiada gorącym modłom, które codziennie zanoszą za Nas tysiące tysięcy wiernych synów Rosyi wszędzie, gdzie stoi święty kościół i gdzie sławione jest imię Chrystusa. Opatrzność Boska, zachowawszy Nam życie, poświęcone szczęściu ukochanej Ojczyzny, niechaj ześle Nam i siłę, abyśmy mogli doprowadzić wiernie do końca wielkie zadanie, do którego z woli Boga powołani jesteśmy.

Dan w Petersburgu, 23 października, roku od narodzenia Chrystusa, panowania Naszego ósmego.

ALEKSANDER.

Teraz dopiero, po zbadaniu szczegółów, zarysował się w całej swej grozie straszny wypadek, z którego Opatrzność tak cudownie wyprowadziła Najjaśniejszego Pana wraz z dostojną Rodziną. Jeżeli uprzytomnimy sobie przebieg tego wypadku, w którym cały pociąg druzgocze się i zabija lub rani kilkudziesięciu ludzi, wagon, gdzie znajdowała się Rodzina Cesarska, rozbity, Wielka Księżna Olga wyrzucona na nasyp, lokaj, podający kawę Monarsze, ginie — zdawałoby się, że w takiem niebezpieczeństwie nie ocaleje żadne życie ludzkie. Tymczasem stało się inaczej, „w nieszczęściu znalazło się szczęście." Ku wielkiej radości poddanych, którzy miłością otaczają ukochanego Monarchę, wyszedł On z tego niebezpieczeństwa bez szwanku. Wzruszeni też do głębi tem cudownem ocaleniem, ślą ze wszech stron swoje pozdrowienia.

Dnia 2 b. m. do Naczelnika Kraju, Generał - Gubernatora Warszawskiego, przybyli: arcybiskup katolicki z członkami kapituły, przedstawiciele ziemian, członkowie Towarzystwa kredytowego ziemskiego Królestwa Polskiego, tudzież wiele wybitniejszych osobistości Warszawy i jej kupiectwa z prośbą o złożenie u stóp Jego Cesarskiej Mości słów radości i szczęścia z powodu cudownego ocalenia. J. W. Generał-Gubernator, jako tłomacz tych uczuć, został przez Najjaśniejszego Pana zaszczycony następującą odpowiedzią:

„Proszę oświadczyć wszystkim osobom, wymienionym w Pańskiej depeszy, Moją szczerą wdzięczność za wyrażone przez nie uczucia wiernopoddańcze z powodu grożącego Mojej Rodzinie niebezpieczeństwa, od którego widocznie uchronił Wszechmocny."

Przedstawiciele tedy kraju tutejszego naprzód swymi dziękczynnemi modłami w świątyniach, a następnie wiernopoddańczem pozdrowieniem, złożonem na stopniach Tronu, przyjęli udział w radości i szczęściu całej Rosyi.

POLITYKA.

ROZSTRZYGAJĄCA CHWILA.

Powszechnie król Milan uważany jest za charakter słaby, bierny, uległy, lekceważony przez wszystkich, nawet przez własną żonę. Trudno o przekonanie mniej odpowiadające rzeczywistości. Przeciwnie, jest to, według zgodnej opinii znających go zblizka, nieodrodny Obrenowicz, człowiek twardy, despota z krwi, skłonny do samowoli, słuchający przedewszystkiem własnych pobudzeń i nieznoszący cudzego zdania. Naród go nie lubi, nie ma dziś już w Serbii stronnictwa, które by kochało i popierało. Jest to aż zdumiewającem, że w całym kraju nie znalazł ani jednego człowieka, który by chciał go publicznie bronić w sprawie rozwodowej, że całe duchowieństwo oświadczyło się przeciwko niemu i że dopiero zgrzybiały metropolita Teodozyusz musiał położyć koniec skandalowi. Sposób, w jaki go przyciśnięto, doskonale znamionuje króla i całą procedurę rozwodową. „Tylko dwie osoby — opowiada *Rhein C.* — były wtajemniczone w plan króla: Wladon Georgiewicz (minister oświa-

ty) i Christicz. Pierwszy z nich zredagował list Milana do metropolity i odpowiedź tegoż. Pewnego dnia (o godz. 3-ej) udał się do Teodozyusza, przedstawił mu oba akty i żądał położenia podpisu na drugim. Nawet tak uległy sługa, jak metropolita, wahał się z przyjęciem na siebie odpowiedzialności za ten krok przed narodem i błagał o czas do namysłu. „O 5-ej tu przyjdę — rzekł minister — ale proszę wiedzieć, że j. kr. Mość tego sobie życzy.“ Powrócił z Christiczem — Teodozyusz podpisał dekret, który nazajutrz został urzędownie ogłoszony.“ Jak król przyjął dwu biskupów, którzy sprzeciwiali się jego rozwodowi, objaśnia nas ta sama gazeta. Blady z gniewu oświadczył jednemu z nich Nikanorowi, że jest nędznikiem, niewdzięcznym za otrzymane dobrodziejstwa. „Tego tylko żałuję — krzyczał potrząsając ręką gwałtownie — żem cię nie wydał Risticzowi, który by ci obciął włosy i brodę.“

Wobec niechęci i rozjątrzenia w narodzie, wobec nienawiści przewodników stronnictw i odtrąconych doradców korony, którzy wypadli z łask, samowolne danie sobie rozwodu z pogwałceniem przepisów kościelnych byłoby ze strony Milana czynem za śmiałym, tem bardziej, że jego żona posiadała w kraju dość szeroką sympatyę a pozbawiona w procesie prawa obrony, doznała krzywdy. Mimo odwagi i nawyknień despotycznych, król pojmował, że wywołanej tym faktem burzy nie zażegna i nie okiełzna, że w starciu z narodem stracić może koronę. Obmyślił więc bardzo dowcipny i skuteczny środek uśmierzenia opinii i skierowania uwagi powszechnej w inną stronę. Ogłosił, że ze wspomnieniem bitwy na Kosowem polu zamierza połączyć wielki akt — zmianę konstytucyi, którą zajmie się umyślnie do tego zwolany i bez żadnego nacisku rządowego wybrany sejm. Odezwa ta rzeczywiście podziałała jak olej rozlany po falach wzburzonego morza. Naród umilkł w zdumieniu, zapomniał o rozwodzie i oddał się całkiem myśli o nadchodzącej uroczystości. Czy zamiar króla jest objawem dobrej i szczerej woli, czy też tylko manewrem, który w stosownej chwili udaremni niepożądane skutki? Zobaczymy to później, tymczasem zaznaczyć winniśmy, że gładkie wyśliznięcie się z obietnicy będzie bardzo trudnem. Korespondent *Frankf. Zeitung*, który wybornie zna stosunki polityczne Serbii i jej władcę, tak wróży: „Jeżeli wybory, jak król słowem zaręczył, rzeczywiście odbędą się swobodnie, wtedy w zgromadzeniu narodowem, liczącem 600 członków, wystąpi znaczna większość radykałów, która przeprowadzi Milana przez próbę ogniową. Jeżeli on istotnie zechce przyznać narodowi to, o co ten oddawna walczy, nie potrzebuje się obawiać tej większości. Ale gdyby okazał chwiejność lub w ostatniej chwili cofnął się przed dobrowolnie podjętem zadaniem, wówczas niech się obejrzy o trzydzieści lat wstecz w historyi serbskiej. W r. 1858 Aleksander Karageorgiewicz również zwołał zgromadzenie narodowe dla obrad nad konstytucyą. Wkrótce stanęło ono w poprzek jego życzeniom. Książę rozwiązał *skupczynę*, ale ona zamiast rozproszyć się, ogłosiła, że trwa dalej. Gdy zaś oburzony kazał zamknąć gmach sejmowy, żołnierze odmówili mu posłuszeństwa. Tegoż dnia został strącony z tronu i musiał uciekać. Od tej chwili upłynęło lat trzydzieści — przypuszczać należy, że Obrenowicze wyciągnęli dla siebie naukę z błędu swych przeciwników.“

Czy wyciągnął ją obecny król serbski? On może sądzi, że w historyi wypadki nie powtarzają się z tożsamością, że on zajmuje stanowisko mocniejsze, że przy pomocy Austryi, która jest jego Opatrznością, stłumi bunt. Nie snujemy dalej przypuszczeń. W każdym razie to nie ulega wątpliwości, że dla Milana IV nadchodzi chwila rozstrzygająca, od której zależą jego losy i posiadanie korony. W dotychczasowem postępowaniu dowiódł, że pragnie rządzić własną wolą, w sprawie rozwodowej — że jest śmiałym, w powołaniu narodu do zmiany konstytucyi — że umie być zręcznym i pomysłowym; czy wszystkie te zdolności wysili w kierunku samolubnym, czy też poniesie ofiarę — niedaleka przyszłość nam odpowie.

Z FRANCYI.

Paryż, 2 listopada.

Zamęt w Rzeczypospolitej. — Przyczyny i powody tych zawikłań wewnętrznych. — Ogólne zgromadzenie polityczno-społeczne i specyalne stosunki francuzkie. — Braki parlamentaryzmu. — Francya zdąża do zaprowadzenia konwentu, ponawiając usiłowania podjęte przed stu laty.

Ci z politykomanów, którzy wyobrażali sobie, że Francya, przywdziawszy szatę republikańską i zapłaciwszy niemcom miliardy, stanie się modelem dla innych państw, doznali wielkiego rozczarowania i nie ukrywają go. W gołębiej swej naiwności mniemali, że zmiana nazwy w ustroju państwowym będzie magicznem zaklęciem otwierającem wrota ziemskiego raju. I we Francyi zresztą tak wielu myślało. Jedni szli naprzód z oczami utkwionemi w przyszły ideał, który rysował się w ich wyobraźni ponętnemi barwami, dalekiemi jeszcze od rzeczywistości. Czegoż bo więcej było potrzeba, kiedy Rzeczpospolita zstąpić miała na ziemię z godłami *liberté—égalité—fraternité!* Inni mniej lotnego serca i umysłu żywili przekonanie, które sam rozsądek zdawał się im dyktować, że skoro społeczeństwo będzie miało zapewnioną większą wolność i samorząd polityczny, zresztą zaś stosunki społeczne układać się będą swobodnie w naturalne swe kształty i formy — najzupełniejsza harmonia i najpełniejszy dobrobyt zapanuje w szczęśliwym kraju.

Dlaczego nadzieje te dotąd we Francyi zawiodły, dlaczego tam zamiast modelu panuje zamęt, zawichrzenie, pośród którego wszystkie dotychczasowe zdobycze zdają się być zakwestyonowane — na pytanie nie można dać krótkiej odpowiedzi, przyczyna bowiem tego stanu rzeczy nieprosta i niejedna, lecz jest ich bardzo wiele. Gdyby od nas żądano koniecznie zwięzłej odpowiedzi, nie moglibyśmy dać innej prócz tej, że łatwo rozczarować się mogli ci, którzy sądzili że sama nazwa rozwiązuje kwestyę politycznego ustroju, stosunki zaś społe-

SZKICE WIEJSKIE.

12. Wera.

Jeziorkowa pochowała męża w czterdziestym roku swego życia; na pogrzeb wylegly oba Zalesia; najstarsi nawet nie pamiętają takiego zbiegowiska.

Baby — wszystkie płakały nad wdową i razem z wdową. I nikt się temu nie dziwił; takiego bowiem człowieka, jak Jeziorek, ze świecą szukać. Czy to on przez całe życie swoje zadarł z którymkolwiek zalesiakiem? Nie; „górni“ i „dolni“ odchwalić się go nie mogą. Nie wypasał, nie prawował się, nikomu krzywdy nie zrobił i nie kłócił się nigdy. Malutkie to było, a pracowite! Żonie, dzieciom na niczem nie zbywało, a co niedziela uciecha dla wsi: Jeziorek fetował i górę i dół, szlachtę i chłopów, bo ze wszystkimi był w przyjaźni. Choć sam chłop, miał w górnem Zalesiu wielkie poważanie między szlachtą; tam się też ożenił, tam umieścił swoje oszczędności.

Dopóki Jeziorek żył, dobrze było i żonie i dzieciom; dziś jednak co wdowa zrobi sama z drobiazgiem?

Dlatego wszystkie baby rozrzewniły się. Co tam Jeziorkowej z rozrzewnienia! Zapasy po śmierci męża wyczerpują się szybko, a ona tylko „ręku załamuje“ i nie wie, co potem będzie.

Przecież to niepodobna, żeby ona sama zapracowała na siedmioro drobiazgu.

Sąsiedzi radzą oddać dzieci w służbę, ale łatwo to radzić obcemu.

Łatwo powiedzieć: w służbę! — ale czy o takim losie marzyła Jeziorkowa dla dzieci?

Wie ona dobrze, jaka to służba ciężka. Przecież i ona sługiwała.

— Tak mi dzieciaczysków żal — mówi— że kęd mi serce nie pęknie.

Ale bieda odpowiada: już ja panią Jeziorkową zmogę. Nie zmogła tydzień, dwa, zmogła jednak po roku.

Już teraz babie i serce nie pęka, kiedy wysyła w służbę jednego chłopaka za drugim.

Dwóch dała na parobków, dwóch do pasionki, jednego do szlachcianki — zostały jej tylko najmłodsze: Janek, jak podrośnie pójdzie do szewca, a Wera — no przecież ona sama w chałupie nie zostanie! Dla Wery znajdzie się w domu robota.

Jeziorkowa wmawia w siebie, że bez dziewuchy nie da sobie rady, bo jej żal Wery. Ogromnie ją kocha. I przemądrzała i podobna do matki. Potrafi wykłócić się z najstarszemi babami. Ona to odbiera zawsze procent od wypożyczonego kapitaliku. Idzie ze starą, kłóci się z dłużnikami o źle uprawioną rolę pod len, o niedoczyszczone zboże; sama mierzy lichy, czy nie brak czasem piędzi ziemi. A jeśli dostrzeże oszukaństwo, płacze na cały głos.

— Gdzie u was sumienie, nieszczęśliwe sieroty krzywdzić, czy wy Boga w sercu nie macie, czy wy umierać nie myślicie!

Kończy zawsze jednem, że co ten ojciec najlepszego zrobił, że je biedne sieroty odumarł.

Broniło się dziewczynisko, jak umiało. Niewiele to jednak pomogło, gdy bieda nawiedziła dłużnika Jeziorkowej. Przyszedł nieurodzaj, w drugim znów roku spaliły się zabudowania ze sprzętem i mały procent Jeziorkowej przepadł. Szlachcic mówi: dałbym, ale sam głód mrę. Tymczasem zaś fortunę żonie zbył i kłopoty także.

Wdowę pociesza, upewnia, że jej suma nie przepadnie; koroów jednak i lich nie daje w procencie. Odpowiada na wszystkie prośby:

— Nie mam, skądże ja wezmę? Chceta, to me prawujta.

Ciężkie czasy przyszły na Jeziorkowę. Codzień chodzą obie z Werą do roboty, ale

czno-ekonomiczne są już same w sobie doskonałe, byle tylko ich nie ruszać i pozwolić im ułożyć się „naturalnie.“

Wiemy dziś jednak, a nauczyło nas doświadczenie choćby tylko kończącego się już wieku, że naprzód zagadnienia, dotyczące najlepszego ustroju politycznego nie rozwiązują się tak łatwo — gdyby zaś nawet znaleziono zadawalniającą formułę rozstrzygnięcia ich, pozostanie jeszcze całe rozległe pole stosunków społeczno-ekonomicznych, które nie chcą się bynajmniej układać w naturalne harmonie, według recepty szkoły *laisser faire, laisser aller*, lecz domagają się wielorakich w tym kierunku interwencyj i usiłowań. Prócz tych zadań ogólnych, obarczających wszystkie społeczeństwa i państwa, każdy naród ma przytem właściwe sobie potrzeby, troski i powikłania, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne, które nie pozwalają na ryczałtowe stosowanie formuł algebry społeczno-politycznej.

We Francyi spostrzegamy cały las takich miejscowych węzłów, które oddziaływają ustawicznie na bieg jej życia. Tu punktem wyjścia dla wszystkich usiłowań na polu polityki wewnętrznej jest wciąż jeszcze pierwsza rewolucya, wraz ze wszystkiemi zagadnieniami, jakie postawiła. Zagadnienia te stoją w znacznej części dotąd nierozwiązane. Ideały rewolucyi są dotąd natchnieniem i wzorem dla republikanów dzisiejszych, dodają im bodźca, lecz i przygniatają swem brzemieniem. Tradycyjna ta już Rzeczpospolita ma mnóstwo dotąd przeszkód do zwalczenia. Wiele pozostawił jej cezaryzm napoleoński, wiele sama sobie natworzyła, wiele bardzo nowych spraw przyniósł z sobą dalszy rozwój wypadków... Nie dość na tem, „stary porządek,“ obalony u schyłku zeszłego wieku, bynajmniej nie został usunięty do szczętu, nie zamarł sam i nie spróchniał, lecz żyje wciąż, czasami nawet odmładza się i odradza, korzysta z każdego błędu republikanów, czyha na każdą omyłkę i broń z niej kuje na swego przeciwnika. Jeżeli teraz zwrócimy się do trzeciej Rzeczypospolitej, to zapomnieć o tem nie możemy, że dźwiga ona na sobie skutki pogromu niemieckiego i żywi pragnienie odwetu, a dążność ta staje się nowym czynnikiem, wpływającym na przebieg spraw wewnętrznych.

Kto uprzytomnił sobie lub widział zblizka wszystkie te trudności i powikłania, ten dziwić się zbytnio nie będzie, że Rzeczpospolita pasuje się niekiedy z nieprzezwyciężonemi trudnościami i popada w zamęt, graniczący z chaosem. Chaos ten atoli nie jest tak zupełnym i ślepym, jak się może zdaleka wydawać. Różne czynniki działają tu mniej lub więcej świadomie, krzyżują się i ścierają, wypadkowa więc nie zawsze się da przewidzieć, leży ona jednak w logice i dynamice sił współzawodniczących ze sobą.

W swych zasadniczych podstawach ustroju politycznego Francya jest Rzecząpospolitą parlamentarną, mającą funkcyonować według znanego wzoru angielskiego, który posłużył za modłę dla konstytucyonalizmu i parlamentaryzmu, gdziekolwiek ten się pojawił. Przyjętą dotąd logiką wywodów socyologicznych ustrój ten uznawano za doskonały i odpowiedni na wszelkich warunkach miejsca i czasu. Tymczasem parlamentaryzm ten jest przedewszystkiem angielskim i działać może mniej więcej prawidłowo tam, gdzie nie są bynajmniej zakwestyonowane same podstawy ustroju politycznego, w łonie zaś jego istnieją dwie tylko wielkie partye polityczne, torysi i wigowie, zmieniające się ustawicznie w rządach krajem. Każdy wie, jak daleko stosunki francuskie odbiegają od tego wzoru angielskiego, który dziś już i dla samej Anglii przestarzał się...

Rzeczpospolita francuska porusza się z wielką trudnością. Przeszkadzają jej naprzód monarchiści, liczący dziś około 200 głosów w Izbie, sama zaś partya republikańska jest za słabą, żeby mogła wzrastać spokojnie i normalnie. Gdyby Francya dała się podzielić na dwie wielkie partye republikańskie, konserwatywną i radykalną— wtedy możeby i parlamentaryzm mógł w niej działać z większym powodzeniem. Chociaż i to jest jeszcze wątpliwem. Ku czemuż jednak zmierza cały zamęt dzisiejszy?

Odpowiemy krótko. Republikanizm dąży do wytworzenia sobie innej formy wewnętrznego ustroju politycznego, formy więcej niż parlamentaryzm angielski, odpowiadającej naturze i tradycyom społeczeństwa francuskiego — dąży do konwentu. Konwent jest to ustrój, w którym jedna Izba, wybrana przez głosowanie powszechne rządzi niepodzielnie krajem. Gorętsi republikanie czują, że takie dopiero ześrodkowanie władzy politycznej w jednym organie nada ustrojowi politycznemu odpowiednią sprężystość, siłę, uczyni go zdolnym do przeprowadzenia reform i pokonania przeciwników, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Jest to przytem tradycyjny ideał francuski, blizki więc i zrozumiały dla wszystkich. Zamierzony ten konwent podejmie dopiero dalej dzieło, które przed stu laty zostało przerwane i nie doprowadzone do końca.

Nie mam zamiaru prorokować, o ile nowe to usiłowanie pomyślnym zostanie uwieńczone skutkiem, zwracam tylko uwagę na fakt, że przewrot podobny, powtórzenie próby po stu latach jest poniekąd dla społeczeństwa francuskiego fatalne. Stronnictwo republikańskie w Rzeczypospolitej, od chwili gdy przyszło do władzy, wciąż, mniej lub więcej świadomie dąży do nowego konwentu. Weźmy ostatni wyraz tych dążeń — rewizyę konstytucyi, zaprojektowaną przez gabinet Floqueta. Projekt żąda zniesienia senatu, odejmując mu charakter wyższej Izby prawodawczej, oraz ograniczenia władzy prezydenta, pozbawia go bowiem prawa rozwiązywania Izby, a jednocześnie podkopuje znaczenie gabinetu ministeryalnego. Projekt ten uznano za nie dość radykalny, za połowiczny i w tej zresztą formie nie przyjmie go dziś senat, którego zgoda potrzebną jest dla zwołania kongresu... Bądź co bądź jednak, zrozumiałem jest to tylko, że projekt chce, drogą ustępstw stopniowych, zaprowadzić wszechwładztwo jednej Izby, czyli system konwentu. Radykalizm polityczny, popierający dziś gabinet, żąda tego samego, pragnie tylko reformę przeprowadzić śmielej i radykalniej. Bulanżyzm, który jest najsilniejszym dziś żywiołem w ruchu reformatorskim, zgadza się na jedno przedewszystkiem z całym radykalizmem republikańskim, że pragnie również obalenia dzisiejszej Rzeczypospolitej parlamentarnej, gdy zaś opozycya senatu zostanie zwalczoną — wtedy zarówno Clemenceau, jak Boulanger a nawet monarchiści wszelkich odcieni przed będą do zwołania konstytuanty, którą będzie się starała przeobrazić w konwent, ażeby dalszych reform dokonać. Rozwiązanie Izby dzisiejszej i zwołanie konstytuanty jest dziś programem zarówno radykalizmu, jak i bulanżyzmu. Boulanger zapewniał niejednokrotnie, że nie myśli bynajmniej o obaleniu Rzeczypospolitej, uważa ją bowiem za jedynie możliwą formę polityczną dla Francyi, za mało zaś ma sił, żeby stać się drugim Napoleonem. Monarchiści, zarówno orleaniści jak bonapartyści, popierają dziś wszelkiemi siłami zaznaczony powyżej prąd reformatorski. W Izbie niejednokrotnie podawali rękę radykałom, gdy chodziło o obalenie gabinetu oportunistycznego,

---

zarobek ten ledwie na życie i konieczne potrzeby wystarcza. Przecież one i komorne muszą zapłacić, bo nie mają własnej chałupy.

Synowie radzą starej Werę oddać w służbę. Matka przyznaje, że trzeba, ale jej dziewuchy żal. Wreszcie, może jej będzie ciężko samej w chacie.

Synowie tłomaczą:

— Przecież matka sama na komornem i wyrobnica. Czy to u nas krowa, albo lichy kartoflik... Dziewczak co zarobi „zadzień,“ to przeje, a w służbie choć życie dostanie darmo.

Werze zaś Warszawa się śni.

Już jeżeli w służbę, to tylko do Warszawy. Ona bo zawsze odzywa się z pogardą o wsi, o chłopach.

— Głupie chamy — mówi i zaraz dodaje: Toć i ja chamka, ale nie taki bąk, jak wszyscy.

Ona wie, że sama da sobie radę. Zna przecież Pawłowiaka, co terminuje w Warszawie. Już on jej pomoże wyszukać miejsca. Rzeczywiście wkrótce po uradzeniu Jeziorków, żeby Werę oddać w służbę, Pawłowiok znalazł jej miejsce piastunki.

Wera rada bardzo z warunków: jedno tylko dziecko, a półtrzecia rubla miesięcznie.

Szlachcianki oburzają się, żeby taką młodą dawać do Warszawy; a toż ona czternastu lat nie ma.

Matka także trochę biaduje.

— Słuchaj Wera — mówi — ty się rozpuścisz. W Warszawie ani postu, ani spowiedzi, pono wszyscy tak.

A Wera ręką usta matce zatyka.

— No, no niech się matka nie boi.

Nie rozpuści się, jest tego pewna. Która dziewka chce, zrobi to wszędzie i na wsi.

Mogła jej przyjść na myśl własna matka. Różnie tam bywało przed pójściem za Jeziorka.

Dlatego też wzięła chłopa, choć sama była szlachcianką.

— Zobaczyta — powiada dziewczyna — jak ja tu przyjadę, to me nie poznata. Zestroję się, aż będzie chrost!

Przy wyjeździe z Zalesia płacze jednak. Żal jej matki, znajomych, wioski całej. Czy ją też kiedy zobaczy?

Ale przecież Warszawa nie Ukraina. Pawłowiak na każde święta przyjeżdża, przyjedzie i ona, choć rzadko.

Tymczasem jest już w Warszawie.

Tęskni trochę, więcej jednak przykrzy się dziewusze.

— To ostatnia — myśli — być piastunką. Naród namolny, wrzeszczący, ani się rusz od niego, tylko wciąg śpiewaj i tańcuj. Jak sobie wspomnę na matkę, na wieś, to me taki żal rozedmie!

I myślą z początku ciągle jest przy nich, w Zalesiu. Zawsze zgaduje, co oni tam robią; czy już zasiane, czy kartofle kopią.

— Pewno Bladziakówny znów golenie podmrażają, one co kapanie odmrożą! Takie delikatne!

Śmieje się.

Duma dalej o swoich chłopakach. Najstarszy stanie pewno do losów. Żeby to matka radna była, toby mu może wyłączenie zrobiła, ale gdzie to tam! Matczysko już strasznie niedołężne.

A Franek, Franek pewno urósł, czy też zawsze ma taki łeb kędzierzawy.

Napisze do nich, że jeśli Stach pójdzie do wojska, to niechże ją odwiedzi; przecie w Warszawie pewno będzie.

Czy ją też pozna?

Wystroi się, włoży co ma najpiękniejszego, a ma w co!

Państwo ją lubią i podarunki dają; obiecali pensyę podwyższyć, ale ona podziękuje za wszystko i pewno od kwartału odstanie.

Pani radaby ją koniecznie zatrzymać, bo Wera dobra, uczciwa dziewczyna.

Pani woli ją na targ posłać, choć taki dzieciak, niż kucharkę.

O! ona koszykowego nie weźmie.

Rózia ją uczy: ty głupia, wszystkie biorą, to nie grzech.

dziś popierają ruch bulanżystowski w nadziei, że z przyszłej konstytuanty wyjdzie monarchia, gdyby zaś nie wyszła zaraz, zapanować może na gruzach nowego konwentu.

Przyszłość niedaleka okaże, co wyniknie ostatecznie z tych usiłowań. Kto weźmie górę w blizkiej konstytuancie lub konwencie? Czy republikanie będą mieli dość mocy, żeby na nowych podstawach ugruntować ustrój republikański? Czy z dzieła tego skorzysta ich nowy Napoleon, czy da się zrestaurować monarchia hr. Paryża? Wszystko to są pytania, na które dziś trudno dać stanowczą odpowiedz. My chcieliśmy tylko zaznaczyć drogę i bliższy cel, ku któremu zmierza obecny ruch reformatorski we Francyi.

Parisis.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory do sejmu pruskiego ukończone, a chociaż dotąd rezultat ich nie jest znany ściśle, daje się już przybliżenie obliczyć. Nie zmienia on bardzo składu dotychczasowego. Tym razem najwięcej mandatów zyskali narodowo-liberalni, a najwięcej ich stracili postępowcy. Ciągłe okruszanie się tej partyi jest wogóle zrozumiałem, a obecnie zupełnie naturalnem. Stanowi ona grupę, która dużo utoczyła żółci ks. Bismarkowi. Zwłaszcza jej przywódcę Richtera kanclerz nienawidzi szczerze. Wybory w Niemczech odbywają się zawsze pod naciskiem rządowym, ale w Prusach, gdzie panuje dotąd przestarzały system pośredni (naród wybiera mężów zaufania, a ci dopiero — posłów), wpływ ten zamienia się często na gwałty widoczne. Rozumie się, że kandydaci postępowi cierpią przed innymi. Z byle powodu policya rozwiązuje zgromadzenia, administracya utrudnia robotę agitacyjną lub ogranicza ludzi od niej zależnych w swobodzie głosowania itd. Ale trzeba przyznać, że postępowcy sami podkopali sobie kredyt w narodzie, nie określiwszy swych zasad jasno i wyraźnie, nie trzymając się ich mocno i wytrwale, próbując targów i układów, które nie dały im żadnej korzyści a zachwiały w nich wiarę. Zredukowani znowu o 10 mandatów muszą oni rozpatrzyć starannie swój program i zająć stanowisko bardziej określone. Inaczej będą ciągle rozpływali się w stronnictwach pokrewnych lub ginęli pod prześladowaniem rządu. Na los ich w wyborach tegorocznych oddziałało niewątpliwie wytłomaczenie słów cesarza podczas przyjęcia deputacyi miejskiej. Dla ludzi, znających rzeczywistość i pamiętających, ile zniewag prasa gadzinowa wysypała ze swych worków na grób Fryderyka III, było zagadkowem, do kogo Wilhelm II zwrócił swoją naganę za mieszanie się w sprawy jego rodziny. Logika wskazywała, że zarzut ten powinien spaść na gazety konserwatywne i narodowo-liberalne, ale znowu z drugiej strony niepodobna było przypuszczać, ażeby na taką niełaskę zasłużyła czeladź dziennikarska kanclerza. Wreszcie pojawiło się urzędowe rozwiązanie zagadki: skarcone zostały pisma postępowe za to, że wysławiały ojca a tym sposobem ubliżały synowi. Kto mógł coś podobnego odgadnąć? Cześć dla ojca nigdy nie ubliżała synowi, owszem przejmowała go radością lub dumą. Świat dowiedział się o innym porządku uczuć.

Wypadek ten zaciążył nad wyborami i przynajmniej częściowo wpłynął na złe żniwo postępowców. Zawsze piętnowani jako „nieprzyjaciele państwa“ przez prasę gadzinową, teraz otrzymali z wysoka potwierdzenie tego piętna.

Koło polskie, zdaje się, nie poniesie strat poważnych i wróci do sejmu w ilości poprzedniej. W Poznaniu zawarto sojusz z postępowcami. Jest to, jeśli nas pamięć nie myli, pierwsza tego rodzaju spółka, dowodząca pewnej zmiany w taktyce, wyjścia z rutyny i oswobodzenia się z wyłącznej zależności od centrum. Za zwrotem tym przemawialiśmy niedawno.

Pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi naprężyły się chwilowo stosunki z dziwnej i nawskróś zabawnej przyczyny. Jakiś figlarz z tego rodu, który u nas płata psikusy pismom, wprowadzając je w pułapki podstępnymi listami, poprosił piśmiennie przedstawiciela Anglii w Waszyngtonie o radę, za którą stroną ma głosować przy wyborze nowego prezydenta. Naiwny dyplomata odpisał mniemanemu rodakowi, który mimo obywatelstwa amerykańskiego chciał być użytecznym swej ojczyźnie, dając mu stosowną radę. Naturalnie figlarz ogłosił list — a przedstawiciel Anglii otrzymał od rządu Stanów wyraźne pożegnanie i życzenie szczęśliwej podróży. Szorstkość tej odprawy nie mogła być przyjemną John Bullowi, ale zarazem nie mógł on zaprzeczyć, że jego plenipotent polityczny spisał się jak ostatni dudek. Ludzie praktyczni nie mający żadnego powodu, ani chęci czubić się, zacierają nieporozumienia. Tak postąpili i w wypadku obecnym.

Stany Zjednoczone w tych dniach rozstrzygnęły ważną sprawę wewnętrzną: wybrały nowego prezydenta Unii. Będzie nim Harisson, przedstawiciel partyi republikańskiej, znanej z zepsucia i łupieztwa na urzędach.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŻYDZI GALICYJSCY.

P. Stanisław Szczepanowski w cennej swej książce wyśmiał tych, którzy utrzymują, że ogromna ilość żydów, zamieszkujących Galicyę, jest przyczyną upadku ekonomicznego ludności polskiej. Zestawiwszy liczby składanych w przeciągu jednego roku oszczędności, nazwał żydów tamtejszych partaczami ekonomicznymi. Dużo dałoby się powiedzieć o owych zaoszczędzonych sumach, których wysokość nie może być całkiem dokładną już z tego powodu, że żydzi, jako plemię przezorne i bystre, nie zwykli chować zarobków, zadawalając się skromnym procentem. Całkiem słusznie rozumują, że pieniądze owe, puszczone w ruch, byle tylko mądrze i sprytnie, niebawem drugie tyle przyniosą w darze odważnemu posiadaczowi. Tego ruchu zaś żadna kontrola, a więc i urzędowa statystyka całkiem dokładnie odzwierciedlić nie zdoła.

Pomijamy przecież tę niedokładność. I my bowiem jesteśmy tego zdania, że galicyanie zdobędą dobrobyt wtedy, kiedy wyleczą się z gnuśnego lenistwa, kiedy w miejsce ospałego „zabijania“ czasu przy urzędniczem biurku nauczą się pracować śmiało, odważnie, a nadewszystko wytrwale, kiedy przestaną chodzić jako owce Panurga starą, jeszcze przez praojców wydeptaną ścieżką, a otworzą sobie nowe pola i utorują nowe drogi.

Z drugiej przecież strony chcąc należycie poznać stan tego kraju i zbadać przyczyny licznych jego stron ujemnych, trzeba wziąć w rachubę i ów żywioł, liczący bez mała około miliona głów. Żydzi galicyjscy są, być może, partaczami ekonomicznymi i jako tacy, nie wywierają złego wpływu na

---

Ale Wera zawsze odpowiada:

— To się po mnie nie pokaże.

Przykrzy jej się jeszcze i ten dom żydowski. Tylko one dwie katoliczki. Poprostu nie może mieć przyjaciółki.

Pani nibyto katoliczka, boć i do kościoła chodzi i modli się przed obrazami, ale cóż z tego, kiedy te obrazy idą pod poduszkę, jak tylko ktoś z gości wejdzie. Na ich miejsce zawiesza się inne.

To się Werze bardzo niepodoba.

Zresztą dzieciak taki uprzykrzony, podrapie ją nieraz po twarzy do krwi.

Choć ona go lubi, bo znów, jak dobry, to dobry: ugłaszcze, upieści, odda, co tylko ma.

Przykrzą jej się jeszcze wieczory samotne. Państwo pójdą na wizytę, a ty siedź, kocołuj.

Zresztą mniejszaby tam było i z doczynkowaniem, ale co prawda, Wera się boi. A tu jak na złość na ulicy cicho się robi; za to w pokoju rosną szmery, to nad głową, to za piecem, znów pod samemi nogami. Boże, co ona wycierpi!

Żegna się sto razy raz poraz, ale to odwagi nie dodaje. Strach strachem.

Czasem perswaduje sobie, że przecież złe do niej nie może mieć przystępu, bo anioł stróż czuwa nad małem dzieckiem.

Ale prawda! to nie katolik.

Febra ją trzęsie i nie śpi do powrotu państwa.

To też mówi:

— Rzucę taką służbę, niech ją tam licho porwie. Byle do roku.

A państwu żal dziewczyny; namawiają oboje, obiecują pensyę podwyższyć.

— Wiesz Wera—powiada pan—my ciebie za mąż wydamy, ty nie odchodź.

I swatają ulubieńca swego. Pieniądze ma i stanowisko.

— Będziesz się stroiła, jak pani—i służbę trzymać będziesz i jeść dobrze.

Ale Wera za wszystko dziękuje; może przypomina jej się chowanie obrazów pod poduszki. Onaby tam nie potrafiła tak oszukiwać pana Boga.

Dziękuje więc pani za jej dobre serce, ale i za takiego kawalera.

Czasem coprawda zachodziła do stróżki, ale to już baba niemłoda; ciągle opowiada o swoich chorobach i swoim Pietruniu.

Zresztą nie bardzo ją tam lubią.

Kiedyś zrobili jej wymówkę, że od panny to się człowiek nawet nie pożywi.

Wera ogromnie się zdziwiła.

A cóż ona ma stróżowi płacić, za co?

— Cóż wy mnie robicie?

Ale Pietruniowie i innym sługom przysług nie robią, a przecież nieraz dostają to węgla, to kartofli.

— No już — mówi — ode mnie nie spodziewajta się nic. Węgiel i kartofle nie moje, a swojego, to ja mam bardzo mało.

W Zalesiu jednak myślą, że nie wiem co. Bójta się Boga! Trzy ruble miesięcznie, to jest rzecz!

A Wera trzewiki drze jakby na zawołanie.

Dziwi się, że na wsi tak mało darła.

Zapomniała, że tam darła własną skórę, bo nawet do kościoła nosiła trzewiki w chusteczce, dopiero pod krzyżem, koło samej dzwonnicy wzuwała je.

Zapomniała.

Od kwartału więc poszukała nowej służby. Zgodziła się do wszystkiego. Myśli, że da radę: dwoje państwa tylko. Napatrzyła się, jak Rózia robiła pierogi, barszcz; kotlety sama nieraz smażyła.

Kuchni się nie boi; najgorsze prasowanie i pranie, ale i tego się przyuczy.

Rada jest ze zmiany. Dom trzypiętrowy, w każdem mieszkaniu po dwie sługi.

Na pierwszem i drugiem — lokaje. Widocznie same bogate państwo!

Ona przyjaźni się tylko z parterowemi sługami, bo i sama jest z parteru, ale zna wszystkie.

Lubią ją widocznie, bo same zaczepiają. Myśli, że już widać ma taką gębę śmieszną.

ludność polską. Mimo to przecież jako pierwiastek z tą ostatnią, prawie nie zespolony, a doniedawna nadto otwarcie jej wrogi, ciężko zawinili oni wobec kraju, który niegdyś gościnnie przytulił ich do siebie. Jeszcze przed ćwierćwiekiem bowiem służyli oni rządowi austryackiemu za sprzymierzeńca, i to bardzo skutecznego, w niemczeniu Galicyi. A nawet i dzisiaj znajdują się jeszcze spore zastępy żydów galicyjskich, którzy, gdzie tylko mogą, na szkodę kraju działają. Przed rokiem 1861, czyli przed nadaniem częściowej konstytucyi, zawsze i wszędzie występowali jako niemcy i starali się każdemu miejscu przez siebie zamieszkiwanemu, nadać znamię niemieckości. Oni też przeważnie popierali od czasu do czasu ukazujące się czasopisma niemieckie w Galicyi, oni uczęszczali do teatrów niemieckich we Lwowie i Krakowie. Jeszcze dzisiaj jedyne niemieckie gimnazyum w Galicyi (lwowskie) rząd utrzymuje dlatego, że znalazła się znaczna ilość rodzin żydowskich, chętnie oddająca tam swe dzieci na naukę. Gdziekolwiek pojawi się szkoła niemiecka, męzka czy żeńska, z wszelką pewnością może ona liczyć na poparcie żydów. Przed rokiem 1861 więc było bardzo źle; później pod wpływem zmienionego sposobu oświaty publicznej, a przymusowej niebezpieczeństwo malało, choć jeszcze nie znikło. Owszem na razie groźne to widmo przycichło, usunęło się na bok, zmieniło kształt zewnętrzny; treść jego pozostała ta sama i czasem wychyla ona rożki, niebezpieczne, bo ostre.

Dzisiaj, trzeba przyznać, istnieje wśród żydów wykształconych dość liczne stronnictwo, które pragnęłoby szczerej zgody z ludnością polską. Lecz owym dobrym chęciom rzadko towarzyszą szczere czyny; tym ostatnim bowiem stoi na przeszkodzie wiele okoliczności. I tak trzeba pamiętać, że centraliści wiedeńscy, którzy do 1878 roku rządzili Przedlitawią, w jednej trzeciej części składają się z żydów, w drugiej z przechrztów, a dopiero w trzeciej części z prawdziwych niemców. Wśród owych żydów zaś, tak mężów stanu, jak i dziennikarzy, połowa, a może i trzy czwarte pochodzi lub pochodziła z Galicyi i ku polakom dziwną pałała nienawiścią. Ci panowie tedy zdołali przeciągnąć na swą stronę całą ludność żydowską nieoświeconą i mnóstwo wykształconych. Pierwszych zdobyli przemawianiem do solidarności, obietnicami przywilejów i ulg, drugim ofiarowali protekcyę w wiedeńskich ministeryach, zyskowne posady, szczególniej bankowe i kolejowe, koncesye na rozmaite przedsiębiorstwa akcyjne. Szczególniej w 1869—74 r. żydzi galicyjscy przy wyborach występowali jako zwolennicy ministeryów centralistycznych. Później, gdy do steru rządu przyszedł hr. Taaffe, w Galicyi zaś stańczycy, żydzi znowu stają do urny wyborczej jako stronnictwo rządowe. Ci sami, którzy w Niemczech wydali Heinego, Börnego i innych wolnomyślnych mężów, w Krakowie głosują zwartym szeregiem razem ze stańczykami przeciw kandydatom postępowym. W innych zaś miastach i miasteczkach wola starosty jest dla nich rozkazem. Szczególniej zatrważająco przedstawiają się właśnie stosunki prowincyonalne. Podczas ostatniego spisu ludności w powiecie stanisławowskim obrachowano 160,000 niemców. Dziwiono się tej liczbie, wynoszącej niemal połowę całej ludności niemieckiej w Galicyi. Przy bliższem rozpatrzeniu tej sprawy pokazało się, że wszyscy żydzi tamtejsi zapisali się w rozesłanych cyrkularzach jako niemcy.

Po tem wszystkiem nie powiemy niespodzianki, skoro zaznaczymy, że wrogie Galicyi dzienniki wiedeńskie liczą tamże kilkanaście tysięcy prenumeratorów, to jest więcej, aniżeli wszystkie razem gazety galicyjskie. Z tych kilkunastu tysięcy zaś, odliczywszy kilka na kawiarnie, garść oficerów i urzędy, pozostanie przynajmniej 10,000 egzemplarzy, opłaconych przez żydów. W bibliotekach zamożniejszych rodzin żydowskich daremnie szukałbyś książek polskich; wszędzie Schiller, Goethe, Lessing, i niemieckie powieści. Jest to złe, które należałoby koniecznie wytępić. Może bowiem wywiązać się z niego rak, podobny do tego, który toczy obecnie Poznańskie. Wiadomo bowiem, że do zniemczenia tej dzielnicy w znacznej mierze przyczynili się tamtejsi żydzi.

Centraliści wiedeńscy straciwszy władzę, a przez to bezpośrednie wpływy na Galicyę, postanowili je zatrzymać, a nawet pomnożyć i spotęgować drogą pośrednią. Ową drogą jest towarzystwo, mające siedzibę w Wiedniu, a działające pod nazwą „Israelitische Alianz zu Wien.“ Należy do niego mnóstwo królów gieldowych, wpływowych urzędników i dziennikarzy. Rząd austryacki, przez nich opanowany wskutek potrzeb pieniężnych, darzy ich przychylnością i poparciem. O tem, że starają się oni w Galicyi utwierdzić swą władzę, świadczy dostatecznie ta okoliczność, że na 11 filij (1886) dziewięć z nich znajdowało się w Galicyi, a tylko dwie we wszystkich innych prowincyach austryackich. Pozornie działalność owej „Aliance“ ogranicza się na zakładaniu szkółek żydowskich z polskim językiem wykładowym. Istnieją przecież bardzo wiarogodne poszlaki, że potajemnie podsyca owo towarzystwo odrębne dążenia żydów galicyjskich. Tajnemi drogami pracuje nad zachowaniem w nich niemieckiego pierwiastku, nad przyuczaniem ich do szkodzenia krajowi, który bądź co bądź daje im chleb i schronienie.

Nie dziwnego, że przewodnicy tamtejsi polscy, zwykle nieprzezorni i nieopatrzni, wobec olbrzymich darowizn barona Hirscha, któremi podobno ma zarządzać wiedeńska „Aliance,“ zachowali się dość nieufnie i podejrzliwie. Wszystkie bowiem owe żydowskie szkoły i fundacye dzisiaj krzewią odrębność żydowską, jutro, przy zmianie stosunków, mogą stać się rozsadnikami niemczyzny.

Adam Nowicki.

RUCH CECHOWO-RZEMIEŚLNICZY
W POZNAŃSKIEM.

Poznańskie w rzeczywistości stanowi dla nas kraj najzupełniej nieznany. Dawniej rugi, obecnie działalność komisyi kolonizacyjnej zatrzymują jeszcze jako tako naszą uwagę. Do tego możnaby dodać komedyę parlamentarną, w której przedstawiciele Poznańskiego odgrywają rolę baranów, prowadzonych na rzeź bez odwagi protestu, oraz sprawy teatru. Na tem koniec. Lecz jak biegnie tam życie społeczne, jakie nurtują prądy i jak kształtuje się położenie ekonomiczne oddzielnych warstw, o tem zupełnie głucho. A być może w żadnej z dzielnic niema tak znamiennych ruchów, bezwarunkowo mających wielkie znaczenie dla przyszłości księztwa. Należy przyznać, iż wpływy kultury niemieckiej sprawiły tu swoje. Obok masowego wychodźtwa ze wsi za zarobkiem do Niemiec, wywołanego przez warunki ekonomiczne, rzuca się w oczy inny prąd, walczący wszystkimi środkami tej kultury, zwłaszcza zaś ideą stowarzyszeń. Mamy mianowicie na myśli organizowanie się partyjno-polityczne i ekonomiczne drobnego mieszczaństwa — rzemieślników, kupców itd. Hasłami tu są związki cechowe, ograniczenie wolnego pro-

---

I u stróżów posiada łaski. Stróż mówi jej nieraz:

— Dzieciaku! nie zadawajta się z temi dziewkami, to wszystko gałgaństwo, ani jednej poczciwej niema.

Ot stare kulbaki!

Wera i bez stróża wie, że jest najmłodsza i najładniejsza.

Właśnieby nie wiedziała, kiedy ją wciąg zaczepiają; czy po piwo pójdzie, czy po bułki, nawet subjekci w cukierni.

— Ten najstarszy to tak ślepiami przewracał i wyglądał, w którą stronę pójdę.

Albo ten pan z naprzeciwka. Przez cały czas, jak myła okna, pokazywał jej winogrona, jabłka i kiwał na nią.

Kiedyś na ulicy zaczepił ją także i odprowadził do samej sieni.

A stróż ją przestrzega.

— Dzieciaku! nie wierzyć nikomu, a jak państwa niema, zamykajcie się i nie otwierajcie, choćby dzwonek urwał.

Ona też Staśka słucha. Lubi go, nazywa ojczulkiem, strąkiem, Stachem! Nigdy mu nie mówi: panie.

Czasem się rozrzewni. Może sobie przypomni ojca. Onby ją tak samo ostrzegał, rady dawał. Tylko że nie potrzebowałaby służyć, gdyby żył...

Rzadko jednak rozrzewnia się, wesoło jej.

„Świajcar“ z przeciwka rozpytywał stróża o nią. Mówi, żeby się odrazu żenił, gdyby tylko ze trzysta rubli miała.

A Wera mówi:

— Żebym ja trzysta rubli miała, tobym się nawet za takim nie obejrzała.

Ponieważ nie ma nic — ogląda się.

Nawet droga wypada jej wszędzie przez ów przechodni dom. Niedługo poznali się.

Świajcar skłonił się. Ona naturalnie także się skłoniła. Rozmawiali.

Wera przyznaje, że dobrzeby jej było za takim świajcarem. Bodajto stróżce! On wszystko zrobi, a baba tylko się wyleży. Tak było z Pietruniową, tak ze Staśkową. A jakie życie „porządne.“ Ryby, mięso, kawa. A co ta Pietruniowa „pomarańcz“ zjadła; jeszcze przebrzydzała, to suche, to niesłodkie.

Szwajcar jednak nie myśli o żenieniu, chwali Werę, to swoją drogą; „przystawia się“ do niej—to także swoją, ale każdy przecież zrozumie, że ona dla niego za biedna.

Wera dowiedziała się od którejś „koleżanki,“ że i siostry mu odradzają.

— Ożenisz się na tysiąc rubli, weźmiesz pannę z miasta, dostatnią, a nie takiego ogolijasza.

Wera oburzona przestaje się kłaniać szwajcarowi, nie potrzebuje go.

Ona żeby chciała, toby Roch, lokaj z pierwszego piętra ożenił się z nią choćby dziś.

I Romek także.

Ale ona za „fagula“ nie pójdzie. Woli sama służyć, niż we dwoje.

Zresztą co? Fagul miejsce straci i żyj czem chcesz przez kilka miesięcy, nim drugie znajdzie.

Już ona wie dobrze. Napatrzyła się i nasłuchała. Panna Mania opowiada jej różności o takich żonach.

Ona musi potem pracować na dwoje, a on lata niby to „za miejscem.“

Wreszcie ma ona swój rozum.

Zawsze powtarza: albo dobrze pójdę, albo wcale.

Tymczasem wyjeżdżają państwo na wieś; ona także, na całe dwa tygodnie do swego Zalesia, pozwolili jej.

Szlachcianki w „górnem Zalesiu“ napatrzeć się Werze nie mogą, nadziwić się.

Obgadują przytem także.

W sobotę była na zabawie u Bladziaków i wcale jej się teraz wszystko odwrotnie wydaje.

Dziewuchy takie głupie! Chłopaki niezdarni, takie wiejskie bąki!

Zabawiali się w gry, w pana pastora.

Kazali Werze być szwaczką, a ona mówi.

— Albo panią pastorową, albo wcale nie chcę.

cederu i wolnej konkurencyi, powstrzymywanie rozwoju przemysłu wielkiego — słowem obrona drobnego rzemiosła. W zasadzie jest to ruch wsteczny, chcący zatrzymać koło historyi. W Niemczech wyłonił on z siebie nawet odpowiednie ideały i zrodził projekt reorganizacyi społeczeństwa. W Poznańskiem nie zaszedł jeszcze tak daleko. Na dzisiaj głównie swe siły skierował przeciw przewodnictwu politycznemu ziemiaństwa, jak o tem przekonywa nas słynna broszura dr. Robińskiego, oraz program *Orędownika*. Natomiast główni przedstawiciele ruchu krzątają się gorliwie koło zsolidaryzowania drobnego mieszczaństwa za pośrednictwem stowarzyszeń ekonomicznych. Prawie w każdem miasteczku istnieją t. z. Towarzystwa przemysłowe, mające na celu samo kształcenie członków, oraz pomoc przeciw lichwie. Świeżo wydane sprawozdanie z r. 1887 wykazuje 68 spółek pożyczkowych, przedstawiających razem w depozytach sumę przeszło 9½ mil. marek. W tej liczbie udział właściwy członków wynosił około 2·2 mil. marek, obrót zaś weksli dyskontowych w przeciągu roku z górą 12½ mil. Ogniskiem tych związków jest poznański „Bank spółek zjednoczonych.“ Do jego to kasy miejscowe, jeżeli posiadają kapitały po nad swe potrzeby, przelewają nadmiar; z niej znowu wypożyczają w razie zapotrzebowania. Bank ten powstał z kapitałem 500,000 marek; obrót jego w 1887 r. dosięgnął 5 mil.

W sprawozdaniu uderzają dwa zjawiska. Wszystkie te instytucye samopomocy ekonomicznej powstały z inicyatywy drobnego mieszczaństwa: rzemieślników, kupców, pomniejszych przemysłowców. Tu i owdzie, lecz stosunkowo wyjątkowo dostarczał pobudki jakiś ksiądz lub lekarz. Sprawy prowadzą również nie finansiści, lecz ludzie, pochodzący z tychże warstw. Wszystko to świadczy dodatnio o samodzielności drobnego mieszczaństwa. Z drugiej znów strony, mimo iż spółki powstały dla pomocy jedynie tej klasie, obecnie czerpie z nich pożyczki i włościaństwo i większe ziemiaństwo. Jest to jeden z objawów, dowodzących, że w Poznańskiem środek ciężkości ekonomicznej przesuwa się z obywatelstwa wiejskiego do mieszczaństwa. Ze zmianą zaś przewodniczenia ekonomicznego musi również upaść i polityczne znaczenie ziemiaństwa, ku czemu niemało przyczynia się jego bankructwo moralne — sprzedaż majątków komisyi kolonizacyjnej.

LISTY KRAKOWSKIE.

Czas nędzy i nędza *Czasu*. — Z uniwersytetu. — Nowe obrazy. — Hr. Badeni. — Słowa prawdy. — Jubileusz gimnazyum św. Anny.

Kiedy zacząłem pisać ten list, paliły się miasteczka, a ulewy i gradobicia niszczyły ciężko zdobyte plony; to też smutek ogarnął nawet tych, którzy otrzęśli sobie wątroby ze śmiechu nad sporami zachowawców pamiątek budowlanych, smutek ogarnął i *Czas*, który odczuwając niedolę, napisał z płaczem: „Burze przeciągają przez kraj nasz, psując... uroczystości przygotowane ku uczczeniu urodzin cesarza.“ Lojalności tej jednak i cesarzowi było za wiele, bo co prędzej pospieszył z ofiarą na dotkniętych klęską, nie odczuwając wcale bólu, jaki targał wnętrzności zachowawcze. A ból targać nie ustaje. Skazany na grzywnę za fałszywe sprawozdanie z wyborów w jasielskiem, mimo odwoływań się do coraz wyższych władz, wyroku nie zmienił, więc na pocieszenie wybrał p. Estreichera, ten znów p. Zimajerową i zabrzmiał hymn pochwalny z pod trykotowego sztandaru, urągając sprawozdawcom warszawskim, którzy śmieli targać się na jej głos, artyzm i takt niezrównany. Śmiał się naród z tego zapału i wołał: nędza! *Czas* wytężył siły. Wśród zjazdu archeologów oprowadzano znawców po ostatniej placówce, po domu poszpitalnym św. Ducha. Pewni wygranej pytają znawców o zdanie, ci odwołują się do komisyi centralnej, która w dni parę przysłała serdeczną radę, przynoszącą ujmę wiedzy archeologicznej, a szpecącą miasto. Więc już i koloratura p. Tarnowskiego nie zdoła olśnić i przekonać — naród śmieje się i woła: nędza!

Wiadomo, że nasza wszechnica z wszech miar roi się od uczonych, którzy szybko zajmują katedry na utrapienie własne i innych. Jeden z licznych docentów na wydziale prawa, hr. Mycielski, wydrukował w *Czasie* czterdzieści i kilka felietonów p. t. „Cztery dni w Bolonii,“ co nas przekonało, że ogłaszanie konkursów na tytuł nie jest wreszcie tak śmiesznem. Gdyby p. M. zatytułował zmudną swoją pracę: „Listy do mojej kucharki,“ albo „Zwaryowane Włochy na widok docenta krakowskiego,“ miałaby pożytek przynajmniej kucharka. Prócz drobiazgowych, choć jeszcze niedokładnych opisów tualet pań włoskich, prócz statystyki zaproszeń na obiady i ich jadłospisów, dowiedzieliśmy się, że osoba docenta była zbiornikiem nadmiernych uczuć włochów, jak również, że król Humbert miał w oczach „wyrzuty.“ Prócz tych i tym podobnych ustępów, całość robi wrażenie skrzętnie przetłomaczonych przewodników na język ojczysty. Tym razem prawdopodobnie sam *Czas* zawołał: nędza!

W uniwersytecie rozpoczął się rok nowy równie uroczyście i niemniej ceremonialnie, jak ubiegły: ustępujący rektor złożył dostojeństwo na barki wstępującego, za co tenże mową lojalną i niemniej ceremonialną, komu należy, podziękował. Studenci napłynęli liczniej, niż w roku zeszłym, tęsknem okiem szukając swoich przewodników, którzy kształcą starsze umysły w Sejmie i Radzie państwa.

Budynek nowej kliniki chirurgicznej już na dokończeniu; przyznać należy, że obmyślano tu wszystko jak najlepiej i zastosowano z pożytkiem dla chorych i postępu wiedzy. Powstanie tego zakładu jest wyłączną zasługą prof. Mikulicza, który zostawił po sobie trwałą i chlubną pamiątkę.

Pamiątkę zostawił po sobie niedawno zmarły malarz Roztworowski w kilkunastu większych i mniejszych obrazach, z których Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych urządziło w osobnej sali wystawę. Niewiele tam rzeczy skończonych, przeważnie prace rozpoczęte i studya z lat dawniejszych. *Czas* tryska zachwytem i wmawia w publiczność, że ubył nam malarz, który kiedyś stałby się genialnym. Co do nas, jeżeli kierowalibyśmy się zasadą „de mortuis,“ niebyśmy powiedzieć nie powinni...

Sale wystawy obwieszone nowemi płótnami, na których jakiejś nowej, oryginalnej myśli dopatrzeć trudno. Naga dziewczyna w kwiatach i zadumana krowa, są tu nieustannem źródłem natchnienia artysty. Kilka wdzięcznych obrazków Kotowicza, Bergmana, Jezierskiego, ratują dobrą sławę szkoły krakowskiej.

Pomijamy obrazki, od których odciągnęły uwagę nagłe zmiany w polityce galicyjskiej, mniej tu mowiąc o nowym ministrze, więcej o namiestniku. Hr. Badeni zostawił po sobie wiele wspomnień, powiadają, że zdolny, sprężysty, odważny i usłużny. Pamiętamy dobrze gorączkę wyborów, wśród której starosta doszedł aż do bredzenia. Oddany stronnictwu, które pod firmą rządową własne przedewszystkiem przeprowadza cele, wzmocnił w niem wiarę, że ono a rząd to jedno; energiczny w wykonywaniu szcze-

---

Będzie mi lada kiep tykał, a ja mu muszę panować.

I nie grała wcale.

Zabawa poszła jakoś kulawo, nie udała się.

Potem i w tańcu Wera przebierała. Temu dziękowała, z tym także nie chce. Krzywi się też, że młodzież z gołymi pazurami.

A panny znów na Werę: że się pyszni, sama nie wie z czego, że sobie z nich kiepkuje i za nic ma, że w białym fartuszku przyszła na zabawę. Czy to zaś słychana rzecz!

E! Werze wieś teraz wcale nie do smaku. Nie powróciłaby za nic.

Z Bładziakównami tylko dobrze. Zaprosiły ją do siebie na całą niedzielę.

A to najbogatsze szlachcianki na całą parafię. Ojciec ma fortunę dwanaście włók.

Zaprosiły, uczęstowały plackiem. Potem wypytują, jak po dworach meblują pokoje, gdzie co stawiają. A w Warszawie jak?

Wera rozpowiada.

Bładziak właśnie dworek postawił, wiadomości takie córkom potrzebne; zastosują się do nich, jak będą meble ustawiali.

Na wszystko się zgodzą, ale żeby komodę z salki wynieść, to już niepodobna.

Komoda ładna, nowiutka; serweta na niej szydełkowa. A gdzież one postawią robione kwiaty?

Ale im Wera i do owych kwiatów gust psuje.

Mówi, że takie gałgaństwo to tylko można w kuchni za gwóźdź zatknąć.

Bładziakówny oburzone. One dały za te palmy całe dziesięć złotych.

A Wera w domu śmieje się do matki:

— Cóż tam z tego, że fortunę mają, kiedy takie głupie. Biedna sługa uczy, co mają gdzie postawić.

A ilu one rzeczy nie rozumieją.

Zapomniała Wera, że i ona była w Warszawie jakiś czas pośmiewiskiem, że wielu wyrażeń nie rozumiała.

Kiedyś naprzykład stójkowy odprowadzał pannę Manię z pierwszego piętra i żegnając się z nią powiedział „przypominam się pani pamięci.“

Wera spytała, czy tu w Warszawie i za żyjących dają na przypominki.

Panna Mania boki zrywała od śmiechu, opowiedziała to wszystkim koleżankom. Śmieli się z Wery w całej kamienicy. Potem przyuczyła się mówić i rozumieć.

I na wsi zauważyli w mowie Wery dużą zmianę. Szlachcianki z zazdrością powtarzają niektóre wyrażenia. Dziwią się też, że przez taki krótki czas już się nauczyła mówić czysto.

Jeziorkowa nacieszyć się nie może swoim pieściochem, [illegible] każe jej wysypiać się; nawet w piątek, kiedy inni jedzą z solą, ona mleko Werze podsuwa, pierogi szykuje; robi, co może.

A Wera tylko o kluski kartoflane prosi. Mówi, że z wszystkiem dobrze jest w Warszawie, tylko że się na naszych kluchach nie znają.

A do matki snuje projekty. Żeby tak za mąż poszła, zarazby ją do siebie wzięła. Obiedwie zarabiały praniem, a chłop rzemiosłem; opowiada przytem, coby musiała na gospodarstwo kupić: samowarek, widelec, noże, wszystkie porządki.

A na wsi Marceli oświadcza, że niechby go tylko Wera chciała, onby choć po kopaniu dał na zapowiedzi. Ale Wera ani słucha. Mówi: cóż tam z tego, że on dobry chłopak, kiedy taka matula na karku. Na nią jeszcze robić, a ona tylko łepkiem kręci a dyskuruje. No już ona doda synowej.

— Mam pracować na dwoje, wolę na siebie.

Ale Wera tak tylko mówi, że pracuje na siebie. Gdzież tam! zostawiła starej kilka rubli i fartuszków parę, i chusteczkę jedwabną z szyi. Odprowadziła ją matka na kolej. Przy rozstaniu popłakały się. Wera jeszcze w wagonie szepcze:

— Matczysko—matczysko— i łzy ociera.

(D. n.)

gólów polityki rządowej, zapominał nieraz, że to kraj swobód konstytucyjnych. Cała pociecha w tem, że wielkie brzemię obowiązków namiestnika dostało się na szerokie barki.

W odpowiedziach na powitalne mowy, jakiemi przyjmowano go we Lwowie, jednostajnie prosi o rady, na które liczy, których się spodziewa; w odpowiedzi na powitanie przez podwładnych urzędników, żąda bezwzględnego posłuszeństwa i znowu rad, za któremi, jeżeli będą słuszne, pójdzie niewątpliwie; w przeciwnym razie wymaga i nakazuje, aby ten, który rady udzielił, zapomniał o niej czem rychlej.

Starosta tutejszy i delegat cesarski hr. Borkowski ustąpił z posady, o zamianowaniu następcy krążą dziwaczne wieści.

W sejmie, podczas ogólnej rozprawy nad budżetem, wypowiedział poseł Romanowicz słowa prawdy w wyczerpującej i pięknej mowie, a mimo że przewodnią myślą było dobro kraju i rządu, rzetelne wystąpienie posła nazwać należy czynem odwagi. Rozwiał niejedno złudzenie, obciążył sumienie karyerowiczów, ale wskazał i drogi, któremi kroczy dobrobyt kraju. Zamącił harmonijne echo, które zadowoleniem poddanych obijało się o uszy rządu; wykazał, dowiódł, że kraj nie jest zadowolonym. Mimo pozornych swobód prawdziwość położenia nie wyraża się ani w słowie, ani w piśmie, urzędnicy nie dopuszczają, ażeby na zgromadzeniach publicznych posłowie i wyborcy wypowiedzieli zdania swoje otwarcie, zbytnią szczerość zawsze zamknie samowolna konfiskata. Winien wszystkiemu system wyborów, system kandydatur urzędowych. Domagając się swobody wyborów, przypuszcza poseł, że one sięgną głębiej w warstwy ludu, w czem nie widziałby nieszczęścia, ale raczej odrodzenie kraju. „Niech rząd usunie z miejsca wyboru złoty kołnierz starosty, groźną minę inspektora podatkowego i błyszczący bagnet żandarma, a będzie miał wtedy jawną, niesfałszowaną niczem opinię kraju i ustrzeże się od kompromitacyi."

Mowa wywołała burzę oklasków obok odpowiedzi w duchu prost przeciwnym.

O uroczystości z powodu 300 letniej rocznicy założenia gimnazyum św. Anny, niewiele da się powiedzieć: zjazd uczniów, nabożeństwo, odsłonięcie tablicy pamiątkowej wśród mów i śpiewu — oto wszystko.

Dzieje tego zakładu opracował dr. Sokołowski. Jeszcze jedno. W pamiątkowej książce napisał dr. Leniek, że jezuici przyciągali młodzież sposobami nie zawsze godziwymi, na co w kronice *Czasu* w sposób lekceważący zażądał jezuita Załęski dowodu. P. L. zgodził się ochotnie. Penitentki ks. Z. wietrzą burzę.

Obszerniejsze sprawozdanie z teatru zostawiam do przyszłego listu.

Mor.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SPÓŁKI WŁOŚCIAŃSKIE.

Obecnie rada Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem zajęta jest układaniem przepisów, uzupełniających prawo z d. 23 kwietnia r. b. Będzie to zastosowanie ustawy normalnej, obowiązującej w Cesarstwie, do warunków tutejszych, tj. organizacya spółek włościańskich. Według projektu, do tego sposobu nabywania ziemi mogą być dopuszczeni nietylko gospodarze, posiadający prawo głosu na zebraniach, lecz i bezrolni. Połączenie kilku gromad w jedną spółkę wtedy będzie dozwolonem, jeżeli grunt ma być przeznaczony na cele wspólne dla kilku wsi (np. szkoły). Ograniczenie to wynika ze znanych zatargów między gromadami o używalność wspólnego pastwiska itd. Do stowarzyszeń należeć także mogą kobiety, samodzielnie zarządzające gospodarstwem i posiadające w rodzinie osoby płci męzkiej (synów, wnuków). Mogą również korzystać z tych samych praw opiekunowie nieletnich (za zezwoleniem rady familijnej). Wreszcie mogą tworzyć spółki mieszczanie rolnicy (mieszkańcy osad). Stowarzyszenie liczyć powinno najmniej trzech uczestników. Tym sposobem przy udziale Banku można nabywać grunty dla wspólnego władania, oraz na własność osobistą każdego członka. Uczestnicy powinni składać solidarne poręczenie, że raty wypłacane będą terminowo. Uczestnicy otrzymują dla całego obszaru nabytych gruntów jedną księgę hypoteczną, w której tytuł własności uregulowany będzie na imię wszystkich wspólników z oznaczeniem szczegółowem: ile każdy z nich posiada ziemi według wykazu i mapy pomiarowej. W dziale III na pierwszym numerze wpisaną będzie suma pożyczki z wyszczególnieniem, ile długu przypada na każdego uczestnika. W Cesarstwie od dawna już z kredytu bankowego korzystać mogą gromady, spółki i pojedynczy włościanie. Zobaczmy, jaki mniej więcej dotąd jest rezultat tego udogodnienia. Do 1 stycznia 1888 r. w 38 oddziałach Banku włościańskiego przyznano 5,460 pożyczek, tj. 1,692 gromadom, 767 pojedynczym gospodarzom i 3,017 spółkom. Te ostatnie, jak widzimy, stanowią przeszło 55% ogólnej liczby nabywców. Procent ten z każdym rokiem wzrasta (w r. 1884 zakupy dokonane przez spółki wynosiły 162% gromadzkich, w 1886 — 226%). Z danych statystycznych zwraca uwagę wybitny fakt — przewaga włościan zamożnych w spółkach. Według sprawozdania p. Woroponowa, członka rady Banku, 21% uczestników spółki posiada 50% nabytych gruntów, albo 17% spólników — 54% gruntów. Nieraz zamożniejsi skupują działy biedniejszych, albo za opłatę rat biorą je w dzierżawę. Tak np. w gub. chersońskiej, z 96 nabywców po kilku latach pozostało właścicielami gruntów tylko 53; w gub. orłowskiej z 28 — 12. Fakty te mogą być wskazówką w praktycznem zastosowaniu dodatkowych przepisów dla Królestwa Polskiego. Projektodawcy kładą nacisk na solidarną odpowiedzialność uczestników. Zachodzi więc pytanie: Co ma robić ogół, gdy się znajdą jednostki niewypłacalne, jak się zachowa bank włościański względem dłużników? Tu „solidarność" nie może chyba mieć zastosowania, tj. przymusowej sprzedaży wszystkich gruntów, nabytych przez spółkę. Ogół uczestników powinien być uwolnionym od odpowiedzialności, a natomiast zastosowana cząstkowa sprzedaż pojedynczych działków. Akuratnych, którzy zdołali wcześniej spłacić swój dług, nie może również obarczać niesumienność innych. Na uwzględnieniu tych dwu punktów instytucya kredytowa nic nie straci, a natomiast wiele zyska bezrolna i małorolna ludność.

SPRAWY CZYNSZOWE.

Pomimo iż upłynęło sporo czasu od chwili wydania ustawy o czynszownikach, sprawa ta stoi ciągle na jednem miejscu. Komu tu winę przypisać? Chyba niejasnemu wykładowi przepisów i pokątnym mataczom, wytwarzającym bezkarnie chaos w umysłach ciemnych. Włościanie do tego stopnia nie mają pojęcia, co to jest czynsz, że nawet swój podatek gruntowy chrzczą tem mianem, jak również każdą drobną, chociaż krótkoterminową tenutę dzierżawną. Tym sposobem błąkają się śród ludu pogłoski o powtórnem dzieleniu ziemi, a rezultatem tego — tysiące próśb bezpodstawnych, zasypujących instytucye do spraw czynszowych. Między innemi bywają takie: „Jestem N., włościanin powiatu X.; słyszałem, że nastąpi powtórny podział ziemi. Obarczony liczną rodziną i wielce potrzebujący gruntu, proszę o przyznanie mi go, a gdzie jest teraz owa ziemia, która do mnie powinna należeć, nie wiem." Tego rodzaju prośby jeden człowiek posyła do wszystkich instytucyj czynszowych w całej gubernii, będąc najmocniej przekonanym, że jeśli nie w jednej, to w drugiej coś dostanie. Prośby takie, chociaż bezzasadne, muszą być rozpoznane i nawet w razie odmowy pociągają za sobą wymianę korespondencyj (6—8 „papierów"). Następnie pretendent żąda kopii protokółu, w którym są drobiazgowo wyłuszczone powody odmowy, o potem wnosi skargę do gubernialnej komisyi dla spraw czynszowych, a gdy i tam kołatanie bezowocne, sprawa idzie do senatu. Bywają inne wypadki: właściciel ziemski zaciąga pożyczkę u szlachcica zaściankowego, a zamiast procentu, daje mu na czas długu do użytkowania część gruntu z sadybą. Wierzyciel, zamiast zwrotu sumy, żąda przyznania mu praw czynszownika. Drugi przykład: Bezrolny pracownik za pewną opłatą korzystał z gruntów dworskich. Przed siedemnastu laty porzucił je i zamieszkał w mieście, gdzie wkrótce umarł. Przez lat kilkanaście grunty owe przechodziły z rąk do rąk rozmaitych oficyalistów. Obecnie dzieci zmarłego i ostatni z użytkujących ziemię wyżej rzeczoną, starają się o przyznanie im prawa własności. Umiejętne spopularyzowanie przepisów i jasne ich wyłożenie ciemnej masie, mogłoby wiele złego usunąć i rozwiązanie zawiłej sprawy przyspieszyć.

NARADY.

Zjazd chmielarzy i piwowarów w Kijowie, odbyty pod przewodnictwem ks. Repnina, prezesa tamtejszego Towarzystwa rolniczego, ogłosił już rezultat swych narad. Oto są ważniejsze punkty: 1) konieczną jest potrzeba zastąpienia prywatnego pośrednictwa przez dobrze zorganizowane instytucye; 2) należy rozwinąć kredyt dla chmielarzy i piwowarów; 3) pożądane jest wydawnictwo kalendarza (dlaczego *kalendarza?*) z adresami wszystkich browarów i chmielarzy. Dalej postanowiono, iż koniecznem jest urządzenie w obrębach plantacyj chmielu instytucyj pośredniczących, któreby przerabiałyby materyał surowy, otrzymany od chmielarzy, na gotowy towar dla piwowarów i udzielałyby kredyt tak chmielarzom w formie zaliczek, jak i piwowarom w postaci kredytu na towar. Projekt szkoły chmielarstwa i piwowarstwa nie znalazł poparcia większości. Żądano przedewszystkiem szybkiej pomocy dla krajowych wytwórców.

W tem samem mieście odbyły się d. 23 października narady cukrowników. Przedstawiciele tej gałęzi przemysłu przyszli do przekonania, iż główną przyczyną zniżki cen jest pozostałość cukru w d. 13 września, wynosząca 3,200,000 pudów, niesprzedana w składach fabrycznych. Ponieważ kampania bieżąca dostarczy mniej więcej tyle produktu, ile go potrzeba na spożycie, można więc przewidywać, że w d. 13 września 1889 r. zapasy dosięgną tej samej ilości i tak samo jak obecnie będą uciskać rynek cukrowy. W celu poprawienia interesów, zebranie postanowiło przyspieszyć wywóz obowiązkowy (wynikający z konwencyi) nadmiaru produkcyi nad normę, oraz zmniejszyć zapasy cukru przynajmniej o milion pudów za pomocą wywozu 6% normy każdej fabryki. Syndykat rozesłał już cukrowniom odpowiedni cyrkularz.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

KRYMINOLOGIA.

II.

W numerze poprzednim skreśliliśmy całokształt poglądów Garofala; obecnie zatrzymamy się nieco nad niektóremi zastosowa-

niami praktycznemi. Przedewszystkiem jednak należałoby powiedzieć słów kilka o stanowisku, które socyolog włoski zajął względem prawników. Odmawia on im możności wyrokowania o sprawach kryminalnych. Przyzwyczajeni przez sam rodzaj studyów do nieczajmowania się naturą człowieka, widzą wszędzie jedynie formułki. Tymczasem w zbrodnictwie mamy do czynienia nie z jakąś abstrakcyą, lecz z istotą żywą. Punktów stycznych niepodobna odszukać pomiędzy wymaganiami, stawianemi przez antropologię kryminalną, a postępowaniem, do którego przywykł prawnik. A jednak państwo wciąż posługuje się urzędnikami, wykształconymi na tych samych wzorach — jurysprudencyi cywilnej, do sprawiania obowiązków w tak odmiennych dziedzinach — cywilnej a kryminalnej. Cóż jednak stąd wynika? Prawnik, powołany do sądzenia przestępców, zwraca całą uwagę nie na osobę, którą ma przed sobą, ale na prawne określenie faktu. Troszczy się o uczynienie zadość literze prawa; bezpieczeństwo publiczne jest dlań rzeczą drugorzędną. Że wymierzona kara winna odnieść jakiś skutek, pytanie to w jego oczach posiada najmniejszą wartość. Zamiast grupowania przestępców według natężenia i trwałości popędów antyspołecznych, mamy w ostatecznym rezultacie klasyfikacyę samych czynów. Tymczasem antropologia kryminalna zwiastuje w tej mierze zupełny przewrót. Jak wiemy, żąda ona zwrócenia wyłącznej uwagi na naturę i usposobienie przestępcy. Aby nabyć należytego uzdolnienia po temu, trzeba przejść studya bardzo odmienne od ślęczenia nad kodeksami: należy poznajomić się dobrze ze statystyką, systemami karnymi i ich skutecznością, antropologią, psychiatryą i psychologią zbrodnictwa. Nauka więc wymaga zupełnego odosobnienia prawa cywilnego od karnego. Są to dziedziny najzupełniej sobie obce, złączone dzięki tej konieczności społecznej, która sprawiła, iż w czasach pierwotnych wszystkie funkcye społeczne spoczywały w tych samych rękach; jedna osoba była kapłanem, wodzem, sędzią... Z tego również powodu Garofalo występuje przeciw instytucyi sądów przysięgłych, przynajmniej w obrębie spraw kryminalnych. Zbija przesąd, jakoby sądy te oznaczały swobodę obywatelską: przy wyrokowaniu bowiem o losie przestępcy, sprzyjają one raczej wolności zbrodnictwa. Sprawa sądzenia zbrodniarza jest zadaniem specyalnego, antropologo-kryminalistycznego wykształcenia, a raczej tem być winna; już z tego stanowiska sądy przysięgłych, nieprzedstawiające podobnej rękojmi, nie odpowiadają wymaganiom. Zorganizowanie sądów kryminalnych zupełnie niezależnie od cywilnych i przysięgłych, oparcie ich na właściwej podstawie naukowej — oto jedynie stosowne rozwiązanie kwestyi.

Przedewszystkiem należałoby oczyścić kryminalistykę z rozpowszechnionych w niej poglądów. Sam nawet przebieg procesu kryminalnego nosi na sobie takie niestosowne piętno. Państwo w osobie swego urzędnika przedstawia niby wierzyciela i wymaga uiszczenia się z długu pod formą kary; sędzia zajmuje się rozpoznaniem prawdziwości tego roszczenia i wreszcie rozstrzyga, ile winowajca musi uiścić, ażeby zaspokoić swój dług. Sprawę kryminalistyczną jeszcze bardziej utożsamiono z cywilnemi przez wprowadzenie obrony podsądnego, oraz jawności sądu. Właśnie pod wpływem tego rodzaju przyczyn, powstało w kryminalistyce odróżnianie spraw prywatnych od publicznych, oraz instytucya przedawnienia sprawy i okoliczności łagodzących. Tak np. zgwałcenie uchodzi za sprawę prywatną, przynajmniej dla ścigania winowajcy wymaganą jest skarga ze strony ofiary. To samo przy zranieniach. Słowem, jednostce pozostawia się zupełną swobodę sądzenia o karogodności czyjegoś czynu. Jeżeli nie poda ona skargi, przestępca, nieraz wykazujący jaknajgorsze skłonności antyspołeczne, może być pewnym, iż wolno mu będzie i nadal wykraczać przeciw bezpieczeństwu ogólnemu. Ofiarę uważamy za wierzyciela, który ma najzupełniejsze prawo darowania winy, jak gdyby tu chodziło o dług prywatny. Jest to niedorzecznem. Wprawdzie czyn, rozpatrywany przedmiotowo, może być bardzo małym, jednakże idzie tu nie o sam postępek, lecz o popędy i całą naturę sprawy. Podobnież bez podstawy jest inne odróżnienie — dokonanego czynu i zamiaru, który z tych lub innych powodów spełzł bez skutku. Różnica ta wypływa zwykle z okoliczności natury zewnętrznej i tylko w wyjątkowych razach przemawia na korzyść podsądnego. W większości wypadków zarówno spełniony, jak i przeszkodzony czyn jednako odbijają popędy sprawcy. Ponieważ zaś kryminalistyce iść winno nie o zadośćuczynienie jakimś formułkom oderwanym i zasadom metafizycznym, lecz jedynie o wykluczenie ze społeczeństwa ludzi z nienormalnymi popędami, w obu zaś razach natura uczuciowa występuje z zupełną dokładnością — przeto i całe odróżnianie jest raczej wprowadzone z celem zmniejszenia bezpieczeństwa społecznego. To samo rzec można i o tak zwanem przedawnieniu zbrodni. Rozumie się, iż jeśli przestępca niewykryty przeżył lat wiele i przez ten przeciąg czasu wykazał niezbicie, że jego uczynek był raczej płodem chwilowego szału, bądź wskutek młodości, bądź dzięki jakiejś silnej podniecie lub innym przyczynom wyjątkowym, niema po co przeciw niemu występować. Przedstawia on zupełną rękojmię dla bezpieczeństwa społecznego; w tym razie może chodzić najwyżej tylko o zwrócenie strat poszkodowanemu. Ale inaczej rzeczy przedstawiają się, jeżeli w życiu wykrytego winowajcy nie znajdujemy najmniejszej pewności, iż instynkty jego zostały stłumione, o przedawnieniu nie może i nie winno być naówczas mowy. Zbrodniarza należy sądzić bez względu na dawność występku, według natężenia pociągów występnych.

Nie będziemy zatrzymywali się nad kwestyą, obszernie i szczegółowo rozpatrywaną przez Garofala, a mianowicie czy podejrzywanego wypada uwięzić przed dowiedzeniem winy. Streścimy jedynie ostateczny rezultat jego wywodów w tej mierze. Otóż jeżeli mamy do czynienia z przestępstwem, wykazującem bardzo niebezpieczne ukształtowanie popędów i instynktów, uwięzienie powinno nastąpić natychmiast, wyjąwszy chyba wtedy, kiedy sędzia śledczy może mniemać z całą pewnością, iż podejrzenie jest nieuzasadnione. W innych przypadkach, kiedy stoimy wobec sprawcy, którego natura daje rękojmię bezpieczeństwa i czyni zbytecznem jego wyrugowanie z pożycia społecznego, uciekać się do tego środka jest zgoła niepotrzebnem. Żądanie Garofala — więzienia podejrzanych — wielu może wydać się wprost dzikiem; wypada jednak dodać, iż socyolog włoski dołącza jeszcze do tego drugi warunek — mianowicie, jeżeli podejrzenie okaże się bezzasadnem, aby państwo wynagradzało wszelkie wypływające stąd szkody dla posądzonego niewinnie. Natomiast inno jego wymaganie—zniesienie prawa łaski znajduje licznych obrońców. Z całą słusznością wskazują oni, że póki zbrodniarza rozważano ze stanowiska kary metafizycznej, póty ułaskawienie miało jakiś cień logiki za sobą. Lecz gdy chodzi o wykluczenie stale lub czasowe, stosownie do napięcia i zwyrodnienia popędów antyspołecznych, jakiejś jednostki z pomiędzy innych, instytucya ta traci wszelkie podstawy. Wszak łaska nie stworzy nieistniejącego u człowieka współczucia lub uczciwości! Usunięcie osoby, pozbawionej uczuć, niezbędnych dla życia gromadzkiego, jest niczem innem, jak naruszeniem praw całego społeczeństwa do zabezpieczenia go od pierwiastków antyspołecznych.

Jak już wiadomo czytelnikom *Prawdy*, Garofalo za probierz kary przyjmuje nie wartość objektywną czynu popełnionego, lecz rękojmię subjektywną, którą odnajdujemy w naturze wewnętrznej przestępcy. Słusznie zauważa, iż wiele dotychczas praktykowanych kar często miewa jeden tylko rezultat — włożenie niezmytej hańby na jednostkę, która jednakże daje pewność u.zciwego prowadzenia się nadal, podczas gdy nie zabezpiecza społeczeństwa od innych, z przyrody swojej niezdolnych do uspołecznienia. Odpowiednio też żąda zupełnego zniesienia więzień, tych bagnisk, zatruwających jedynie jeszcze istniejące uczucia społeczne i będących przedewszystkiem szkołą występku. Nie wdajemy się w kreślenie środków zalecanych przez Garofala, gdyż to już zrobiono w łamach *Prawdy*. Zatrzymamy się tylko nad jednem szczegółowem zagadnieniem—kryminalnością małoletnich. Przedewszystkiem przypomnimy rezultaty, do których doszła w tej mierze antropologia kryminalna. Otóż okazuje się, iż wszyscy wielcy zbrodniarze zdradzają swe popędy od chwil najwcześniejszych — walka przeciw nim ze strony wychowania jest zawsze bezskuteczną. Odpowiednie instynkty uwidoczniają się w szeregu różnych czynów, tylko dlatego nieposiadających większego znaczenia, ponieważ sprawcy zbywa na niezbędnej po temu sile fizycznej. Wreszcie, po dostatecznie długim okresie czasu, wybucha zbrodnia, potworna, dzika. Uwagi te rzucają zupełnie nowe światło na kryminalistykę dzieci. Obecnie uwzględnianie wieku przeważa w tego rodzaju sprawach. Tymczasem wypadałoby baczyć na zupełnie co innego: jakość i częstość drobnych zbrodni, psychologię małego winowajcy, na jego cechy antropologiczne, przedewszystkiem zaś jednak na wskazówkę najdonioślejszą — charakter dziedziczny uczynków. To wszystko pozwalałoby z góry rozpoznać w małoletnim przestępcy przyszłego zbrodniarza, społeczeństwo zaś mogłoby zapobiedz przyszłym ofiarom, oraz zatamować przekazywanie tego rodzaju popędów dalszym pokoleniom. Zresztą w tym razie należałoby uwzględnić jeszcze inne okoliczności. Często skłonności zbrodnicze młodego wieku bywają jedynie fazą przejściową w rozwoju psychicznym jednostki, podobnież jak i płód ludzki w łonie matki przebywa w skróceniu morfologiczne kształty przodków zwierzęcych. Wszystko to zniewala do rozbioru, czy zbrodnictwo małoletniego wypływało z otoczenia i złego przykładu, lecz bez istnienia odpowiednio spotęgowanego pociągu ku złemu, czy też jest rezultatem bezwarunkowego uwstecznienia i zwyrodnienia emocyonalnego. W ostatnim wypadku trzebaby tytułem próby umieścić małoletniego przestępcę w zakładzie dla obłąkańców zbrodni dla wywiedzenia się, czy nie mamy przed sobą okazu zupełnie psychopatologicznego. Jeżeli podejrzenie okaże się niesłusznem, można go przenieść na dalszy przeciąg czasu do kolonii rolniczej i, po przetrzymaniu go tutaj przez stosowną ilość lat, wypuścić. Jeżeli wszakże istnienie popędów psychopatologicznych nie ulega wątpliwości, lub kiedy małoletni przestępca, wypuszczony z kolonii rolniczej, powróci jako recydywista, państwo winno uciec się do najodpowiedniejszego środka — wysłania go na stałe. Z tego stanowiska, obecne domy poprawy dla przestępców małoletnich nie posiadają żadnego znaczenia; bez namysłu łączą one różne kategorye psychiczne obok siebie, w ten sposób stwarzając źródło zepsucia dla jednych i możność zbrodni na przyszłość dla drugich.

W streszczaniu krytyki, której Garofalo poddaje istniejące systemy i teorye kryminalistyczne, nie zapuszczamy się, jakkolwiek jest to jedna z bardziej wykończonych stron jego doktryny. Przystępując do poznajomienia czytelnika z wywodami *Kryminologii*, mieliśmy na celu nie tyle ich wyłożenie, ile wykazanie, jakie przewrotowe

działanie obiecuje wywrzeć antropologia kryminalistyczna na odnośną dziedzinę postępowania państwowego. W istocie rzeczy, nie widzimy tu ani jednego punktu lub twierdzenia, które nie byłoby zagrożonem. Zarówno założenia filozoficzne (a raczej metafizyczne), jak i procedura sądowa we względzie spraw kryminalnych, jakość „kar" i wszelkie związane ze zbrodnictwem instytucye i urządzenia — sądy przysięgłych, więzienia, prawo łaski itd. itd. — wszystko to ulega radykalnej zmianie. W rezultacie postawiono państwu jeden tylko cel: zabezpieczenia społeczeństwa od obecności antyspołecznych popędów—i więcej od niego nie żąda się. Dla sądzenia o napięciu tego rodzaju popędów nieodzowni są uczeni specyaliści. W ten sposób, i kryminalistyka zamienia się jedynie na praktyczne stosowanie nauki — antropologii kryminalnej. Przestępców przyrównano do żywiołowo działających a szkodliwych potęg przyrody, np. wylewów rzeki, lawin górskich i wystawiano żądania odpowiednio przedmiotowego postępowania. Kierunek ten dotychczas posiada bardzo licznych zwolenników — lecz wśród medyków, zwłaszcza psychiatrów, i antropologów, a zawziętych wrogów — pomiędzy prawnikami. Lecz i wśród tych ostatnich zyskuje rzeczników. Garofalo, Puglia we Włoszech, Kraepelin i Liszt w Niemczech, Drill w Rosyi — oto kilka imion z tego szeregu. W każdym razie musimy zauważyć jeszcze jedno: jakkolwiek zupełnie podzielamy zdanie o niezmiernej wadze zdobyczy antropologii kryminalnej, niepodobna nam jednak zgodzić się z zastosowaniem jej do praktyki w formie przedstawionej przez wspomnianych uczonych. Wszyscy oni stoją na gruncie tegoczesnych stosunków społecznych, ich kryminologia jest zastosowaniem antropologii kryminalnej w ramach jakiegoś określonego ustroju społecznego. Tymczasem my widzimy możliwość w przyszłości innej formy społecznej; ówczesne zbrodnictwo wymagać będzie wprawdzie również kryminologii, ale bezwarunkowo przedstawiającej odmienny nieco charakter.

Lud. Krz.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Angielszczyzna w Europie i Ameryce. Język angielski w Ameryce północnej podlega powolnemu, lecz niemniej bezustannemu przekształcaniu. Jak typ fizyczny anglika po upływie kilku pokoleń w Stanach Zjednoczonych przybiera szczególną postać — cienką i wysoką szyję, proste i sztywne włosy — podobne zjawisko dostrzegamy i w sferze lingwistycznej. Wielu amerykanów, zwłaszcza aktorzy, muszą odbywać studya, aby pozbyć się swej właściwej wymowy i nabrać angielskiej. Różnice dotyczą znamion najrozmaitszych, przedewszystkiem zachodzi odmienność w wymawianiu samogłosek. Niema ani jednej w źródłosłowach, którąby wymawiano jednako po obu stronach Atlantyku. Takie same różnice spostrzegamy w wydawaniu niektórych dźwięków spółgłoskowych, mianowicie *r* i *h*. Wreszcie to samo rzec można o akcencie, brzmieniu itd. W mowie amerykanów przeważają dźwięki nosowe, u anglików gardłowe. Ma to być wytworem odmiennych warunków bytu, wpływów klimatyczno-meteorologicznych itd.

List Karola Vogta o studyach wyższych kobiet. Znany profesor uniwersytetu genewskiego, w jednem z czasopism wiedeńskich, przed kilku miesiącami ogłosił list, w którym streszcza swe spostrzeżenia nad kobietami, pobierającemi wyższe wykształcenie. Przytaczamy go bez uwag:

„Słuchaczki stanowią obecnie dość znaczny zastęp na uniwersytetach. W Zurychu z 508 uczęszczających na wykłady, przypada 66 kobiet; w Bernie z 580 — 57, w Genewie z 390 — 32. Innemi słowy, wśród 100 uczęszczających w Zurychu, kobiety stanowią 13, w Bernie—10, w Genewie—8. Przed kilku laty słuchały po większej części wykładów medycyny, obecnie—innych. Podczas lekcyj są one wzorami uwagi i pilności; być może, że zbyt usiłują zanieść do domu, zanotowane czarne na białem, co usłyszały. Zwykle zajmują pierwsze ławki, ponieważ i zapisują się wcześniej i przybywają na długo jeszcze przed rozpoczęciem kursów. Można jednakże zauważyć fakt, iż często rzucają jedynie przelotne wejrzenie na preparaty, pokazywane przez profesora, a nawet zdarza się, że oddają je sąsiadowi bez spojrzenia na nie — zwrócenie większej uwagi przeszkodziłoby im w robieniu notatek. W czasie egzaminów odznaczają się tym samym charakterem. Lepiej znają przedmiot, niż mężczyźni; że użyję szkolarskiego wyrażenia — kują bardzo wiele; posiadają dobrą pamięć i wybornie mogą udzielać odpowiedzi na żądane pytania. Lecz zwykle dalej nie idą. Pytanie, niewprost postawione, miesza im szyki. Jak tylko egzaminujący odwoła się do rozumowania o własnych siłach, wszystko skończone — nie otrzyma wtedy odpowiedzi. Jeżeli w swych usiłowaniach wyjaśnienia kwestyi powie jakieś słowo, potrącające o notatki słuchaczki — biegniemy jak po telegrafie. Gdyby egzaminy polegały jedynie na słownych lub pisanych odpowiedziach w zakresie kursów słuchanych lub wykładów w podręcznikach, kobiety wychodziłyby zawsze zwycięzko. Niestety jednak, istnieją jeszcze egzaminy praktyczne, w których studentka staje wobec rzeczywistości. Wyjść zwycięzko może tylko wtedy, gdy pracowała praktycznie w laboratoryach, które stanowią słabą jej stronę... Trudno uwierzyć, iżby przyczyna, dla której tak trudnemi dla kobiety okazują się prace w laboratoryach, tkwiła w niezręczności i nieumiejętności poradzenia sobie z własnemi rękami. A jednakże tak jest. Wszyscy laboranci jednakowo uskarżają się na to samo — słuchaczki obarczają ich bezustannie jaknajdrobniejszemi zapytaniami. Jedna kobieta przyczynia więcej pracy, aniżeli trzech mężczyzn. Możnaby było mniemać, iż tak delikatne ich palce nadawać się zwłaszcza winny do prac mikroskopijnych, zręcznego postępowania z cieniuchnemi szkiełkami, czynienia delikatnych przecięć, przygotowywania kształtnych a niewielkich preparatów. Tymczasem widzimy coś zgoła odmiennego. Miejsce, przy którem pracuje kobieta, można rozpoznać od pierwszego rzutu oka. Szczątki szkła, rozbite instrumenty, wyszczerbione nożyki, plamy od odczynników chemicznych, preparaty zepsute — oto wskazówki. Wprawdzie są wyjątki, lecz tylko wyjątki."

Wpływy miasta na organizm ludzki. Gdy mowa o ujemnych skutkach życia miejskiego, zwykle bierzemy pod uwagę tylko niektóre jego strony: złą wentylacyę, zanieczyszczone powietrze, niedoskonałą kanalizacyę i inne tego rodzaju właściwości. Hygienista angielski, Walter Platt, zwrócił teraz baczność na kilka rzeczy zupełnie odmiennych, które jednakże wskutek swej ciągłości mogą doprowadzić układ nerwowy do zupełnego rozstroju, a następnie wywołać zaburzenia w odżywianiu się całego organizmu. A jednakże są to wszystko wpływy, które łatwo usunąć. Mianowicie ma on na myśli trzy szeregi faktów: 1) zupełne niećwiczenie muskularne lub też bardzo nieznaczne górnych kończyn; 2) bezustanny hałas i turkot; 3) ciągłe wstrząsanie mózgu wskutek stąpania po kamiennych chodnikach.

Otóż ćwiczenia fizyczne ręki przedewszystkiem wpływają na głęboko oddychania i przyspieszają prędkość odżywiania całego organizmu. Odbijać się to musi na robocie umysłowej i z całą stanowczością rzec można, iż lepiej pracuje głową, kto odbywa ćwiczenia fizyczne ręką, aniżeli gdy poprzestaje jedynie na nogach. Zresztą można jeszcze zauważyć inne oddziaływanie. Osoba, która codziennie używa mięśni swej ręki, rzadko okazuje się wśród chorych na nerwy. Można dla odpoczynku po pracy umysłowej spacerować godzin kilka, a jednakże to będzie z mniejszym pożytkiem, niż gdyby spędzono daleko mniejszy przeciąg czasu na podnoszeniu ciężarów. Jak bezustanne ćwiczenia nogi, podobnież denerwująco działa ciągły hałas miejski. Może on być nieznacznym, niewielkiego natężenia, lecz jego ciągłość wpływa na organizm ludzki tak samo, jak nieprzerwane spadanie kropli wody w jedno miejsce. Działanie to można przyrównać do uderzania młotkiem w nerwy słuchowe. Że tak jest rzeczywiście, za dowód mogą służyć doświadczenia, czynione nad zwierzętami. Poddawano je bezustannemu hałasowi — niebawem już w pierwszych chwilach otrzymywano niezwykłe rozdrażnienie nerwowe, doprowadzające następnie do pewnych zmian, nawet w wyglądzie oka. Wreszcie w podobnym kierunku oddziaływa i chodzenie po chodnikach kamiennych. W istocie rzeczy bowiem czynność ta polega na spadaniu pewnego ciężaru z pewnej wysokości. Nie odbywa się to bez wstrząśnienia dla całego ciała, a więc i mózgu. Wprawdzie powłoki, w których wisi mózg, zabezpieczają go od takiego ciągłego uderzania, niepodobna jednak powiedzieć, ażeby zupełnie usuwały następstwa.

Wszystko to są przyczyny drobne, lecz za to działają bez przerwy. Wynikiem ich, po dostatecznie długim czasie, musi być odpowiednie rozdrażnienie nerwowe, przechodzące w następnych pokoleniach w różne nerwice. A jednakże dobra administracya municypalna może zmniejszyć wiele z tych przyczyn. Odpowiednia organizacya, najlepiej podziemna, ruchu, zamiana twardych materyałów chodnikowych na miękie i wiele tego rodzaju reform może w bardzo znacznym stopniu osłabić wymienione źródła nerwicy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Aleksander Kraushar: *Czary na dworze Batorego*— kartka z dziejów mistycyzmu w XVI wieku, jako przyczynek do charakterystyki króla Stefana. Kraków, 1888.

Kto czytał wydaną przed kilku laty, monografię dwutomową p. n. *Olbracht Łaski*, ten z przyjemnością powita ciekawe jej uzupełnienie— *Czary na dworze Batorego*.

Nowa praca dziejopisarska utalentowanego poety i historyka przedstawia trzy główne działy: pierwszy zamyka w sobie treściwą a różnostronną charakterystykę Stefana; w drugim występuje na widownię wojewoda sieradzki, znużony próżnymi o mitrę mołdawską zabiegami, tylko co pojednany z królem, a sprowadzający z Albionu — gwoli jakiejś nieodgadnionej potrzebie — dwu słynnych czarodziejów—Jana Dee i Edwarda Kelley'a; w trzecim autor wszystkie te osoby na chwilę około jednego grupuje ogniska, i sposobem epilogowym zaokrągla opowieść o losach burzliwego ich życia.

Materyału do rozprawy dostarczył autorowi głównie dyaryusz Jana Dee, wydany w r. 1659 przez Merica Casaubona. Rzadkie to dzieło, napisane językiem, stanowiącym mieszaninę łaciny średniowiecznej ze staroangielszczyzną, znalazł p. K., po długich, bezowocnych poszukiwaniach, w księżnicy ord. hr. Zamojskich.

Jan Dee (1527—1607), syn zamożnego kupca londyńskiego, był jednym z najsłynniejszych swego czasu encyklopedystów: filolog, matematyk, astronom, mechanik, historyk, polityk i teozof — zostawił po sobie, w różnych gałęziach wiedzy, 8 dzieł drukowanych i 50 rękopiśmiennych. „Posiadał on umysł trzeźwy, praktyczny, dociekaniami matematycznemi należycie urobiony. Mimo to jednak, jakby dla stwierdzenia sprzeczności, która jest częstokroć znamieniem wyjątkowych umysłów, około tego właśnie czasu, gdy najgorliwiej matematyką się zajmował, nastąpił w jego życiu umysłowem zwrot dziwny (?). Natężenie umysłu i cicha praca w odosobnieniu od ludzi i od wpływów światowych, nieustanne wreszcie rozmyślania wprowadziły umysł mistrza w stan wyjątkowego podniecenia, w czasie którego zdawało mu się, że duchy zaziemskie zstępują do jego pracowni i zawiązują z nim rozmowę.“ Pierwsze widzenie objawiło się oczom Jana Dewusa w 56 roku jego życia. Nadprzyrodzona jakaś istota, którą mistyk „aniołem Urielem“ nazwał, olśniewającą promienną jasnością, „wręczywszy mu tarczę kryształową, dobrotliwie zapewniła, że ilekroć zapragnie wejść w rozmowę z duchami, powinien silnie wpatrywać się w ową tarczę, a nadziemskie istoty ukażą mu się i odsłonią tajemnice przyszłości.“ Odtąd cicha ustroń w Mortlake, zamieszkana przez mistrza, stała się przybytkiem, do którego, od czasu do czasu, dla odnowienia ślubu z ziemią, schodzili niebianie... Współuczestniczką tych biesiad mistycznych bywała częstokroć sama królowa Elżbieta. Niebawem jednak czując pewne sił duchowych wyczerpanie, a ufny w moc swej tarczy, zawiązuje Dee bliższe stosunki ze słynnym czarnoksiężnikiem, Edwardem Kelley'em, jednostką wątpliwej wartości moralnej. Jest to na pozór „medium,“ a rzeczywiście wyrocznia doktora Jana. Czy Kelley szczerze poszukiwał t. z. kamienia filozoficznego (mającego wszelkie nieszlachetne metale zamieniać na złoto i srebro, przyszłość odsłaniać, drogę do wszechwiedzy i szczęścia torować), czy wierzył w nieomylność jakiejś tam przypadkiem nabytej recepty i w potęgę tarczy kryształowej Dewusa, niewiadomo. To tylko pewna, że przy swym towarzyszu odgrywał on długo bezczelną rolę fałszywego proroka, i w imieniu tajemniczego Olimpu — schlebiał Olbrachtom Łaskim i Rosenbergom. Nastręcza się pytanie, czy Jan Dee był godnym tego szarlatana kolegą - współwyzyskiwaczem, czy też bezwiednym w jego rękach narzędziem. Autor, przechylając się stanowczo ku drugiemu przypuszczeniu, broni „mistrza“ zarówno od zarzutów interesowności materyalnej, jak i aberracyi umysłowej. Byłby to więc typ mędrca średniowiecznego, usiłującego drogą natchnień wiarowych i praktyk wróżebnych dojść do poznania wszelkiej, przed umysłem ludzkim zakrytej prawdy. Na uzasadnienie wszakże tego poglądu brak nam niezbitych dowodów. Przytoczone przez historyka, dość obfite zresztą szczegóły nie wyświetlają należycie ani moralnej, ani umysłowej dzielności Jana Dee. Wiemy, że go możni — już to wysoko cenili, już to prześladowali procesami o nieprawowierność i czary *); ale stosunków, któreby uwydatniały jego dodatnią wartość etyczną, wcale nie znamy. Umysłową też potęgę mistrza zasłania gęsta mgła zdawkowego mistycyzmu. Pisał on przed r. 1583 o różnych przedmiotach, interesował się dokonanemi w świecie naukowym odkryciami (*De stella admiranda in Cassiopeia asterismo*); ale czy zabłysnął jaką myślą samodzielną, czy jakim rysem oryginalnym odznaczył później swe odrębne względem kościoła stanowisko, czy wreszcie na jego „tarczy kryształowej“ ukazało się kiedy jakie barwne widmo gorętszego marzenia, któreby przed potomnością o głębi duchowej świadczyło? Pytania te pozostają bez odpowiedzi.

Jeden z wybitniejszych charakterów magnackich w Polsce wieku XVI, rzutny i ambitny, gorączkowo-energiczny, łowca bogactw i dostojeństw, Olbrach Łaski, upada w niefortunnej za mitrą hospodarską pogoni i zwątpiwszy o skuteczności zwykłych środków, ucieka się w Anglii pod opiekę „mistrza“ Dewusa i „proroka“ Kelley'a. Następuje szereg t. z. „akcyj,“ czyli mistycznych biesiad z *dobrymi* duchami, wywołany, jak się domyślamy, sutym ładunkiem „szlachetnego metalu.“ Istoty nadziemskie pod różnemi występują kształtami: 28 maja 1583 roku jawi się w kaplicy Deego świetlana postać kilkoletniej dzieweczynki „o pysznych, bujnych lokach, w jedwabnej, powłóczystej szacie, igrającej naprzemian czerwonemi i zielonemi barwami;“ kiedyindziej śród obłoków „białego dymu“ — tajemnicze widmo anioła Ilemose, z podniesioną wysoko rózgą w dłoni, którego „głowa zdaje się być ze złota, a ciało z marmuru;“ to znowu — archanioł Gabryel w towarzystwie zbrojnego na koniu rycerza. Niekiedy staje przed oczyma „proroka,“ w charakterze symbolicznej wróżby, jakiś krajobraz, np. zamek w dolinie, przerzniętej nurtami bystrej rzeki, co ma być, według objaśnień Łaskiego „arx regia, quae Cracoviae est.“ Wszystkie te widziadła i proroctwa, działające na zmysł — czy to wzroku, czy słuchu, wynoszą Łaskiego pod niebiosa, jego piosnkę śpiewają i przyszłość mu świetną wróżą.

Dwaj magowie, prześladowani w Anglii za czarodziejstwo, przyjeżdżają pod egidą wojewody sieradzkiego w r. 1584 do Polski. Czy ta podróż łączyła się z jaką misyą polityczną, nawiązaną czarodziejom przez Elżbietę, czy też była wywołana z jednej strony faktem ucisku, z drugiej niebezinteresowną protekcyą wpływowego cudzoziemca, niewiadomo. Autor sposobem pragmatycznym kwestyi tej nie rozstrzyga; podkreśla tylko, przez odpowiednie zestawienie szczegółów, trwający dalej po przybyciu do Krakowa, stosunek materyalnej zależności wróżbitów od Olbrachta Łaskiego. W dniu 17 kwietnia 1585 r. wojewoda przedstawił Dewusa i Kelley'a Stefanowi Batoremu, który, jak wiadomo, przy całej potędze swego umysłu, objawiał zawsze pewną skłonność do kabalistyki, a pod koniec żywota, zwłaszcza po zamknięciu, w d. 28 lutego, burzliwych obrad sejmu, znękany moralnie, cierpiący fizycznie, z większą zapewne, niż kiedykolwiek wiarą ku czarodziejskim zwracał się praktykom. Możnaby przypuszczać, na podstawie rozwiniętych przez p. Kraushara szczegółów, że pojednany rzekomo, ale w duchu niechętny królowi, Olbracht — używa, ku swej posłudze, przedajnych magów, jako narzędzia, budzącego tendencyjnie w osłabłym organizmie trwogę i nadzieję. Wszakże jeszcze w roku 1583 przepowiadają oni: zagładę — Turcyi, śmierć od morderczego żelaza — Stefanowi, panowanie nad Polską i Mołdawią — wojewodzie sieradzkiemu. Czary, odprawiane przez Deego i Kelley'a, bardzo krótko na dworze królewskim trwają. Po audyencyi, której żadne sztuki magiczne nie towarzyszą, objawia się Kelley'owi, krom licznej białych duchów gromady, Michał Archanioł, w czerwoną przyodziany szatę, „zapowiadający, że o ile król Stefan łaskawie przestrogi wysłucha, tron jego będzie ustalony.“ Wkrótce potem wróżbita widzi przed sobą „niewiastę w zielonej szacie, otoczoną kręgiem słonecznego światła,“ z której ust podobna poprzedniej, adresowana do monarchy, ulatuje wyrocznia. W miesiąc później na zamku Niepołomickim Jan Dee wita znów króla, a następnie (27 maja) odgrywa przy pomocy Kelley'a jedyną wobec Stefana scenę przyzywania duchów. Przedstawienie się nie udało: Kelley tylko ujrzał na kryształowej tarczy długie mętnych widziadeł pasma i *usłyszał* starannie wystylizowaną, od tronu bożego jakoby pochodzącą, a do Batorego zwróconą przemowę: „Przecz czynisz niesprawiedliwości? Nie strącę cię, choć postanowiłem, lecz pozwolę, byś nadal na chwiejnym siedział tronie etc.“ Król nie rozgniewał się na czarodziejów, że go wielkim zrobili grzesznikiem: czy był wzruszony, niewiadomo; ale ich pożegnał życzliwie i florenami nagrodził. Na początku czerwca 1585 r. „posłuszni rozkazowi ducha,“ dwaj magowie opuszczają naszą ziemię na zawsze i udają się do Czech, gdzie Wilhelma Ursyna Rosenberga nadzieją polskiej łudzą korony. Dalsze ich losy, jakkolwiek burzliwe, mniej nas już obchodzą.

Oparte na sumiennych badaniach, świeżością pomysłu i piękną zalecające się formą, studyum historyczne p. Kraushara, o tyle pod względem ustroju za wzór innym służyć nie może, o ile, zamiast jednego, trzy główne posiada ogniska. Oprócz Stefana, wysuwa autor na pierwszy plan w opowiadaniu dziejowem: Łaskiego i Jana Dee z nieodłącznym Kelley'em. Rysy nadwornego astrologa Elżbiety, któremu dziejopisarz przeważną liczbę kart poświęcił, nie odznaczają się plastycznem ożywieniem. Batorego we wstępnej części wybornie scharakteryzowano; ale ponieważ stosunek monarchy do dwu czarodziejów był daleki, chwilowy i obojętny, nie określono więc dokładnie tej strony oblicza moralnego, którą bladawe słońce natchnień mistycznych oświeca. Najwięcej na barwie i wykończeniu rzeźbiarskiem zyskała tu znana dobrze autorowi, postać Olbrachta Łaskiego, który podczas ocierania się wróżbitów o sprawy polskie był ich karmicielem i jawnym kultu przedmiotem.

A. G. Bem.

*) Niech nam wolno będzie w tem miejscu sprostować błąd korektorski: „Powrócił następnie (w r. 1553) do *Anglii*, lecz tu, z rozkazu Maryi *Stuart* (powinno być — „M. *Tudor*“) osadzony został w więzieniu“ (str. 124).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zuchwała odezwa krawca do młodzieży. — Co on chce zrobić z lepszej sfery i czteroklasowego wykształcenia. — Podążamy w kierunku innych narodów. — Kłopot opinii publicznej wobec dwu sprzecznych zasad kolejowych. — Za którą się oświadczyć. — Kasa pożyczkowa dla kobiet pracujących.— Praktyka rozstrzygająca czcze spory teoryi.— Spółka dla wyhodowania kury znoszącej złote jajka. — Namioty Melpomeny.

Zima okryła się już śnieżnym płaszczem, odetchnęła mrozem i skinęła na nas, ażebyśmy zmienili rodzaj igrzysk. Zanim wstąpimy w ten znak, w którym okazujemy się najbogatszym i najszczęśliwszym narodem ziemi, w znak karnawału, przechodzimy przez jego artystyczny przedsionek, przez okres koncertów, widowisk cyrkowych i „premier.“ W listopadzie i grudniu pracowity warszawiak żyje między wspomnieniami jednego biletu, który już dostał, a nadzieją drugiego, który ma dostać. Życie jego wypełnia się staraniami o kupienie wygodnego miejsca w salach, gdzie świat modny urządza sobie schadzki i wystawy ubrań. Zgodzi się ze mną czytelnik, że trudno taką porę i jej bohaterów obrazić bardziej, niż to uczynił pewien niedelikatny krawiec, który chyba zapomniał, gdzie i do kogo przemawia. Oto ogłosił w pismach, że „dla młodzieży *z lepszej sfery*, z wykształceniem *czteroklasowem*, pragnącej wydoskonalić się w jednem z najszlachetniejszych rzemiosł, mianowicie w krawiectwie męzkiem, a stroniącej od nieszczęśliwego terminowania, otwiera przy swej pracowni

dwuletni kurs praktycznej nauki krawiectwa dla uczniów przychodnich za umiarkowaną zapłatę." Pan ten, jak gdyby wcale nie rozumiał, co to znaczy „lepsza sfera" i „czteroklasowe wykształcenie," zapewnia, że uczniów zapisze do cechu i obdarzy patentem czeladniczym. Przedewszystkiem kto z nas należy do „lepszej sfery," wolałby — jak powiada przysłowie — żyda zabić, niż zakłuć swój honor igłą. A cóż dopiero, jeśli ukończył aż cztery klasy! Zuchwały krawiec, nadmieniając w swem ogłoszeniu, że przyjmuje również „pensyonarzów z prowincyi," daje do zrozumienia, że zwrócił pożądliwe oczy na ziemian. Tego jeszcze nie bywało, ażeby szlachcic szył spodnie i surduty, nawet wtedy, kiedy mu się rozpruły a nikogo do naprawienia ich nie miał. Jeżeli zaś swą godność przyrodzoną ozdobił jeszcze świadectwem z czwartej klasy, to po cóż ma iść do krawca, chociażby zbiedniał, skoro ten dyplom otwiera mu podwoje wszystkich urzędów obywatelskich? Wprawdzie radcy Towarzystwa kredyt. ziems. słyną z mądrości, ale też mają w swem gronie znaczny procent czwartoklasistów, których straciliby dla krawiectwa, gdyby ów potworny projekt się przyjął. Mam też nadzieję, że pozostanie on niezdrowem marzeniem, zamachem na naszą dostojność, bluźnierstwem przeciwko tradycyi.

Opiętnowawszy go należycie, kochany czytelniku, przenieśmy się myślą wstecz o lat 20 i wyobraźmy sobie, że ktoś wówczas zamieścił publiczną odezwę do młodzieńców „z lepszej sfery," posiadających „czteroklasowe wykształcenie," ażeby szli do niego uczyć się krawiectwa. Uczulibyśmy wszyscy jakiś dziwny niesmak, a szlachetnie urodzeni ojcowie, niewiedzący, co począć z synami, plunęliby ze zgrozą na taki wabik. Tymczasem dziś! I dziś ubogi dzierżawca, zbankrutowany właściciel ziemski lub urzędnik na taką ofiarę dziecka swego nie poświęci, ale już nie oburzy się, nie dozna zgrozy. A za lat 20? Może poświęci... Bądź co bądź mamy nie jeden, ale sto faktów na dowód, że zmieniamy się w tym samym kierunku, w którym oddawna poszły ludy ucywilizowane, że uznojona dłoń coraz częściej wyręcza w zabiegach życiowych zadarty nos. Pozostało w nas jeszcze dużo, bardzo dużo nawyknień arystokratycznych, ale one zanikają, jak organy bezużyteczne. Na rozmaitych stanowiskach pracy spotykamy ludzi, którzy niedawno jeszcze wstydziliby się swych obecnych zajęć, którzy byli przekonani, że urodzili się—jak mówi Voltaire — z ostrogami u pięt i powinni tylko wyszukać sobie grzbietów do osiodłania. Coraz mniej takich rycerzy, a coraz więcej odważnych zapaśników w walce o byt.

Dziwny układ stosunków wprowadził naszą opinię publiczną w poważny kłopot: trzy drogi żelazne miały jednego dyrektora, a jedna — trzech. Wobec tej sprzeczności chórzyści owej opinii, opatrzeni biletami wolnej jazdy, nie wiedzieli, za którą teoryą się oświadczyć, czy za jednowładztwem, czy za wielowładztwem kolejowem, gdyż oba systemy przedstawiały im najlepszy ze światów. Z kolei warszawsko-wiedeńskiej rządzonej przez triumwirat, usunął się jeden konsul, p. Kozłowski — gazety płaczą; gdyby p. Gnoińskiemu odebrano Nadwiślańską lub Terespolską — również by płakały. I ja chciałbym łzy ronić, ale nie wiem, którą zasadę ukochać. Jeżeli bronić będę triumwiratu, pośrednio obrażę dyktaturę; jeżeli oświadczę się za dyktaturą, obrażę triumwirat— a podobno obie te postacie zarządów kolejowych są wyśmienite. Ponieważ między tą Scyllą i Charybdą przepłynąć bezpiecznie nie umiem, więc cofam się od ryzykownego przedsięwzięcia i wypowiadam tylko to, co mi dyktuje zdrowy rozsądek (najgorszy doradca tam, gdzie chodzi o przeróżne względy). Jeżeli trzech dyrektorów dla jednej kolei za wiele, to jeden dla trzech — za mało. Ale nad tą kwestyą niech sobie łamią głowy akcyonaryusze. Dla nas, dla ogółu jest ona całkiem obojętną, choćby nawet wszystkiemi drogami żelaznemi zarządzał jeden człowiek, lub każdą stu. Nieobojętnem natomiast jest dla nas, ażeby drogi żelazne były zarządzane z korzyścią dla interesów ekonomicznych kraju, ażeby służyły istotnie społeczeństwu a nie garstce wyzyskującej dojne krowy, ażeby wreszcie były instytucyami dającemi pracę żywiołom miejscowym. Jeśli te warunki będą zachowane, niech w Olimpie kolejowym szaleją burze i przelatują pioruny, niech jedni padają a inni na ich ciałach się wznoszą — to sprawa nienasza, niespołeczna, lecz osobista między zwycięzcami i zwyciężonymi. Posiadasz, szanowny i szczęśliwy trębaczu opinii publicznej, akcye którejkolwiek kolei, to ciesz się lub martw ze zmian w jej zarządzie; my pozbawieni prawa uczestniczenia w „zebraniach ogólnych" i pozostawieni za drzwiami będziemy pilnowali naszego interesu, nie dbając o to, czy p. Strasburgier lub Gnoiński utrzymają się na swych stanowiskach, czy też zaczną śpiewać o pięknych a minionych dniach Aranjuczu.

Jednocześnie w kilku punktach rozległa się myśl wytworzenia instytucyi, któraby jednoczyła i wzajemną pomocą wiązała kobiety pracujące. Myśl tę podobno już przelano w projekt odpowiedniej kasy pożyczkowej i przedstawiono władzy do zatwierdzenia. Głównie chodzi o to, ażeby pracownica (na jakiemkolwiek polu) w potrzebie znajdowała rękę, która ją bądź wyprowadzi z biedy, bądź pozwoli na rozszerzenie zarobku. Właściciel ziemi lub domu zwraca się w takich wypadkach do Towarzystwa kredytowego lub kapitalisty, przemysłowiec do banku, rzemieślnik do swej kasy, słowem mężczyzna ma zawsze ścieżkę do banku lub lichwiarza, kobieta — tylko do lombardu, jeżeli posiada kosztowny zastaw. Ponieważ zaś wszystkie idealizmy, zdobiące papier drukarski akwarelami mrzonek, chleba nie wypiekają i odzieży nie szyją, ponieważ pisma sentymentalne, wskazujące kobietom posłannictwo w rodzinie, nie utrzymują jednocześnie kantoru małżeństw i nie dołączają w bezpłatnych dodatkach swym abonentkom mężów; ponieważ coraz więcej przybywa takich, które owego posłannictwa spełnić nie mogą, więc życie stawia przed nami kwestyę zarobkowania niewieściego z całą stanowczością przymusowego rozwiązania jej. Tu już nie chodzi o gadaninę według tej lub innej zasady, ale o spełnienie jasnych rozkazów życia. Kiedyś można było głosować w sprawie emancypacyi, rzucać do urn dziennikarskich białe lub czarne gałki; dziś byłoby to bezmyślną zabawką, bo sama praktyka rozstrzygnęła zagadki teoretyczne, bo ta instancya zawyrokowała, że kobieta, niewyposażona przez ojca lub nieutrzymana przez męża, musi pracować, jeżeli nie ma zginąć w walce o byt. Jeżeli co dziś jeszcze jest wątpliwem, to tylko natura i stopień jej uzdolnień. O ile zaś ona w jakimkolwiek kierunku swych sił dowiodła, przeciwnicy jej równouprawnienia wyglądają wprost śmiesznie. Bo i cóż np. z tego, że Konopnicką lub Orzeszkową pozbawimy szczególnych praw, a pp. Pileckiego i Jeske-Choińskiego obdarzymy całą ich pełnią, kiedy Konopnicka pomimo to pisze takie poezye, a Orzeszkowa takie powieści, jakich pp. Pilecki i Jeske-Choiński nie napisaliby nigdy, chociażby oba ich mózgi włożyć w jedną czaszkę. Podobnie w handlu i przemyśle. Pani Rykosowa, znakomita inteligencya gospodarcza, nie może być radcą Towarzystwa kredytowego, a nawet uczestniczyć w głosowaniu wyborczem; natomiast jakiś cześnik szlachecki, który dobrze pije i poi, może być przedstawicielem ziemian. Wszystko to są dziwolągi naszego wieku, które kiedyś stopnieją w czasie, ale których dziś usunąć niepodobna. Natomiast można i trzeba uczynić kobietę umysłowo i ekonomicznie produkcyjną, ażeby nie umierała z głodu, kiedy jest osamotnioną, nie była ciężarem dla mężczyzny, kiedy zostanie żoną, nie otępiała swego rozumu i nie psuła charakteru bezczynnością. Prus rzucił kilka rozsądnych uwag o tej sprawie w *Kuryerze codz.* Do takich przekonań doszła już, zdaje mi się, znaczna większość naszego społeczeństwa. Kobiety otrzeźwiają się z niezdrowych upojeń, zaglądają w oczy rzeczywistości, zdobywają nauki i pracę, pragną łączyć swe usiłowania — jest to objaw bardzo pocieszający.

Spółka, zawiązana w celu wywozu mięsa za granicę, pozostaje dotąd mgławicą, rozwiewającą się ustawicznie pod przeciwnościami. Wyprzedzi ją niezawodnie inna, chociaż staje do biegu o rok później, bo życie nasze dla takich wyścigów ma tor doskonały. Mówię o połączeniu się jakiegoś autora dramatycznego z kapitalistami w przedsiębiorstwie teatralnem. Ma to być kojec ogrodzony dla kury znoszącej złote jajka. Ów autor będzie fabrykował przeróżne „bomby," a jego spólnicy dostarczą mu armaty, której huk będzie sprowadzał tłumy, łaknące widoku tego rodzaju popisów. Nie wiem, czy ci panowie wymyślą coś lepszego od Trapszów i Puchniewskich, w każdym razie reforma naszych teatrzyków byłaby bardzo pożądaną. Od lat kilku zlatują do nas stadka wędrownych ptaków Melpomeny, które w jesieni odfruwają równie zbiedzone, jak na wiosnę. Każdego roku przytem powtarzają się zwykłe sceny głodu i swarów, aktorzy niepłaceni, przybory teatralne przez wierzycieli zajęte, procesy, skandale itd. Przewodnicy tych trup ciągle próbują szczęścia, nabywają sztuki w nadziei, że któraś stanie się „bombą" i zacznie napełniać im kasę. Czasem ta gra uda się, częściej zawiedzie, zawsze jednak pozostaje tylko ryzykowną grą. Otóż czy przy rozpowszechnionej i głęboko u nas wkorzenionej teatromanii nie możnaby jednej lub dwu scenek ogródkowych oprzeć na trwalszej podstawie? Zdaje mi się, że nie byłoby to zadaniem trudnem, gdyby kapitał połączony z rozumem rozwiązał je umiejętnie i zerwał z tradycyą „bomb." Sztuka efektowna będzie zawsze pożądaną dla każdego teatru, ale ona nie może być całym jego fundamentem, bo osiągnięte z niej korzyści zje prędko cały szereg niepowodzeń. Smutne to, że wielki kapitał zwycięża małe, ale cóż począć, kiedy tak jest. Tymczasem nasi „dyrektorzy" nie chcą uznać tej prawdy i sądzą, że jak Twardowski z piasku bicz ukręcą. Aktor, pokłóciwszy się ze swym pryncypałem, mając jedynie w kilku miastach prowincyonalnych długi, zbiera kilkunastu towarzyszów niezadowolonych lub świeżo zaciągniętych i przyjeżdża do Warszawy po złote runo. Nic też dziwnego, że Jazon szybko zamienia się na Zabłockiego i tonie w mydlinach.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Podatki. Postanowiono zwiększyć dochód z tytoniu. Skutkiem podwyższenia akcyzy, dochód ten wzrósł znacznie i przynosi rocznie niespełna 24 miliony rs.

Tunel. Dnia 13 października w obecności ministra komunikacyi przebito główny tunel dla skrócenia drogi obwodowej przez przełęcz suramską. Osie obu sztolni zeszły się dokładnie. Roboty ukończono o pół roku wcześniej, niżeli sądzono. Jest to najdłuższy tunel w Rosyi (niespełna 4 wiorsty). Robotami kierował inż. F. Rydzewski.

Leśnictwo. Ministeryum dóbr państwa sporządziło plan sztucznego rozkrzewienia lasów, który będzie wprowadzony w wykonanie od roku bieżącego aż do 1991 r. w gub. kijowskiej, podolskiej i tambowskiej.

Z Gdańska dochodzą nieustanne skargi na zastój w handlu zbożowym, upadającym wskutek ceł. Trzej wielcy kupcy: Kosmack, Boehm i Dumme zwijają przedsiębiorstwa.

Żydzi, obcy poddani, mieszkający w Warszawie, otrzymali wezwanie policyjne do opuszczenia granic państwa w ciągu 28 dni.

Herbaciarnie. Oberpolicmajster m. Warszawy polecił jednemu ze swych urzędników opracowanie projektu urządzania herbaciarni dla włościan okolicznych, przyjeżdżających na targi do Warszawy.

Z prasy. Zawieszono ostatecznie miesięcznik *Dieło*. Czasopismo to, o kierunku liberalnym, miało niegdyś wielkie powodzenie.

— Wydawnictwo *Tellus* zawieszono.

Spółki. Dzienniki petersburskie donoszą, iż grupa kapitalistów, do której wchodzi p. E. Rau, zamierza utworzyć towarzystwo w celu urządzania doków do budowy okrętów. Biuro ma być w Kijowie. Kapitał zakładowy około 100 mil. rs.

Rumuński synod cerkiewny postanowił przedrukować wszystkie księgi cerkiewne literami łacińskiemi, zamiast dotąd używanej *kirylicy*.

Z Uniwersytetu. P. Sergiusz Wiechow, nadzwyczajny profesor uniwersytetu tutejszego, mianowany został, niezależnie od poprzednich obowiązków, bibliotekarzem księgozbioru uniwersyteckiego.

Dochody w departamencie podatków niestałych obliczono na rok przyszły w sumie 14 i pół milionów rubli.

Graždanin pisze, iż skutkiem wypowiedzianego zdania przez generał-gubernatora warszawskiego co do niemożliwości zniesienia wydziałów prawnych przy rządzie gubernialnym w Królestwie Polskiem, myśli tej zupełnie zaniechano.

Ministeryum spraw wewnętrznych oblicza na rok przyszły dochód z kar ściąganych od uchylających się od służby wojskowej żydów na 150,000 rs. Nadto ministeryum przeznacza 3,000 rs. na nagrody za schwytanie żydów chroniących się od powinności.

Posady. Od nowego roku na kolei Terespolskiej otworzy się przeszło trzydzieści posad dla maszynistów i ich pomocników, skutkiem zapowiedzianego ustąpienia pracowników, którzy wysłużyli połowę emerytury.

Spłaty bankowe. Sposób likwidacyi zobowiązań przyjętych po b. Banku polskim przez Bank państwa ma być zmieniony. W miejsce opłat 5%, zaprowadzone będą 25%. Osoby, które długi swoje regulują, będą mogły korzystać z kredytu w Banku państwa.

Konkursy. Termin konkursu Towarzystwa lekarskiego w Warszawie, imienia dr. Walentego Koczorowskiego, upłynął 1 listopada r. b. Temat: „Wykazanie na zasadzie własnych badań: pochodzenia morfologicznych różnic i fizyologicznej roli białych ciałek (leukocytów). Nagroda 300 rs. Praca najlepsza wydrukowana będzie staraniem Towarzystwa, przynajmniej w 300 egzemplarzach, które będą własnością autora.

— Na podstawie reskryptu ministeryum wyznań i oświaty, ogłoszono we Lwowie konkurs, od 22 października do 15 grudnia r. b. w celu obsadzenia opróżnionej katedry fizyki w tamtejszej szkole politechnicznej.

Szkoły. Dzienniki odeskie donoszą, iż w odpowiedzi na podanie uczniów gimnazyalnych pochodzenia izraelskiego, aby ich przyjęto do uniwersytetu ponad normę, minister oświaty odmówił, przyczem jednak nadmienił, iż w ciągu b. m. omawiana będzie sprawa położenia żydów kształcących się w wyższych zakładach naukowych.

— Po wprowadzeniu nowego programu w szkołach realnych, przechodzenie uczniów niższych klas gimnazyalnych do szkół tego rodzaju jest obecnie wzbronionem.

— W Radzie państwa wkrótce roztrząsany będzie wniosek ministeryum oświaty, dotyczący ustanowienia opłaty od egzaminów na stopień prowizora aptekarskiego, w wysokości rs. 10 i na stopień podaptekarza rs. 5.

Stowarzyszenie spożywcze, założone niedawno przy kolei Wiedeńskiej, otwiera drugi sklep.

Dla ociemniałych. Otwarcie nowej instytucyi dobroczynnej dla wsparcia ociemniałych biednych, mieszkańców Warszawy, wkrótce nastąpi. Na ten cel p. Janusz Roztworowski przeznaczył 105,000 rs.

Ograniczenie. Ministeryum spraw wewnętrznych poleciło, aby w guberniach południowo-zachodnich przy licytacyach nieruchomości, położonych po za obrębem miast i miasteczek, dopuszczać do udziału w przetargach tylko takich licytantów, którzy specyalnem świadectwem stwierdzą swe prawo do nabywania tam własności ziemskiej. Przytem polecono wyraźnie nieuwzględniać zupełnie odnośnych świadectw, wydanych przed datą ukazu grudniowego.

Departament celny zwolnił nowe części statków parowych od opłaty cła, o ile powracają z zagranicy od poprawki.

Literatura. W zeszycie październikowym *Wiestnika Jewropy* znajduje się „Ojciec zadżumionych“ Słowackiego, w przekładzie Seliwanowa.

— Prof. M. Karejew wydał w Moskwie obszerne studyum o organizacyi sejmów w Polsce oraz zapowiada pracę krytyczno bibliograficzną p. t. „Upadek Polski w literaturze historycznej.“

Bibliografia. S. Godlewski, *Zbiór praw*, obowiązujących w guberniach Królestwa Polskiego, tom V. Mieszczą się tu prawa: o ochronie lasów, o szkołach przemysłowych, o akcyzie od nafty, o wydawaniu świadectw na prowadzenie handlu żydom, cudzoziemcom itd.

— L. Niemojowski, *Owoc zakazany*, komedya w 1 akcie (dla przedstawień amatorskich).

— M. Federowski, *Lud* okolic Żarek, Siewierza i Pilicy (zwyczaje, obrzędy, pieśni itd.) (Biblioteka „Wisły“), Warszawa, str. 224.

— F. Flamm, *Interpretacya kodeksu cywilnego* Król. Pols., tom I, zeszyt I, Warszawa, str. 141.

Wystawę przemysłową otwarto 3 b. m. w salach Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Kupcy ruscy wystąpili do ministeryum skarbu z podaniem o podwyższenie cła na zagraniczne wina, likiery, wódki i cygara.

Przytułki. Zbierane są obecnie dane statystyczne w celu utworzenia na prowincyi kilku przytułków dla dzieci nieprawych.

Kary za podrzucanie niemowląt będą znacznie obostrzone.

Zakład Jana Bożego z chwilą przeniesienia szpitala chorób umysłowych do Tworek, przeznaczony będzie w całości na klinikę uniwersytecką. Fundusz na ten cel uzyskano.

Poczty. Niektóre trakty pocztowe w obrębie Królestwa Polskiego ulegną zmianie. Do miast otrzymujących obecnie posyłki raz lub dwa tygodniowo, poczta dochodzić będzie częściej.

Nowa ustawa o konsulach zawiera następujące punkty: Konsulaty dzielą się na dwa rodzaje: czysto handlowe, których przeznaczeniem jest bronić interesów poddanych ruskich i takie, których przedstawiciele mają sobie poruczone czynności dyplomatyczne. Konsulaty I-ej kategoryi otwierane będą we wszystkich miastach portowych za granicą; konsulami będą w nich dymisyonowani oficerowie marynarki. Przedstawicielami konsulatów II-ej kat. mogą być tylko urzędnicy etatowi ministeryum spraw zagranicznych. Istniejące konsulaty bez etatów będą zniesione, a natomiast, według potrzeby, powstaną etatowe.

Z Krakowa donoszą, iż bawiący tam publicysta i literat ruski, Szygaryn, czyni starania w celu założenia miesięcznika polityczno-społecznego w języku polskim i ruskim.

Pierwsze krematoryum w Szwajcaryi zbudowano w Zurichu.

Ze Lwowa donoszą, iż tamtejsze władze policyjne, nagle, bez żadnej przyczyny wystosowały do towarzystw akademickich wezwanie, by statut swój poddały nowej rewizyi namiestnictwa, aby wszelkie zebrania, nawet „Kółek naukowych,“ odbywano w obecności komisarzów, aby w dysputach omijano staranie sprawy polityczne itd. Oburzona młodzież urządziła walne zebranie przy udziale rektora, d-ra Piętaka. Po długiej rozprawie postanowiono przez Koło polskie apelować do parlamentu.

Na wystawie rolniczej w Symferopolu otrzymali medale srebrne: Białawski z Aleszek, leśniczy rządowy pow. dnieprowskiego, za okazy leśne i wzorowe prowadzenie szkółek leśnych i Henryk Szańkowski, właściciel ziemski z tegoż powiatu za tytoń oraz wzorowe prowadzenie plantacyj.

Zmarli. Ludwik Głębocki, w Ameryce, malarz religijny. Dorobek swój, 8,000 dolarów, przeznaczył na utworzenie kasy pomocy nauczycieli artystów i literatów w Chicago. Pochodził z Lublina.

— Przewalski, znany podróżnik. Specyalnie zwiedzał Azyę. Przez czas pewien był nauczycielem w warszawskiej szkole junkierskiej.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Октября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.